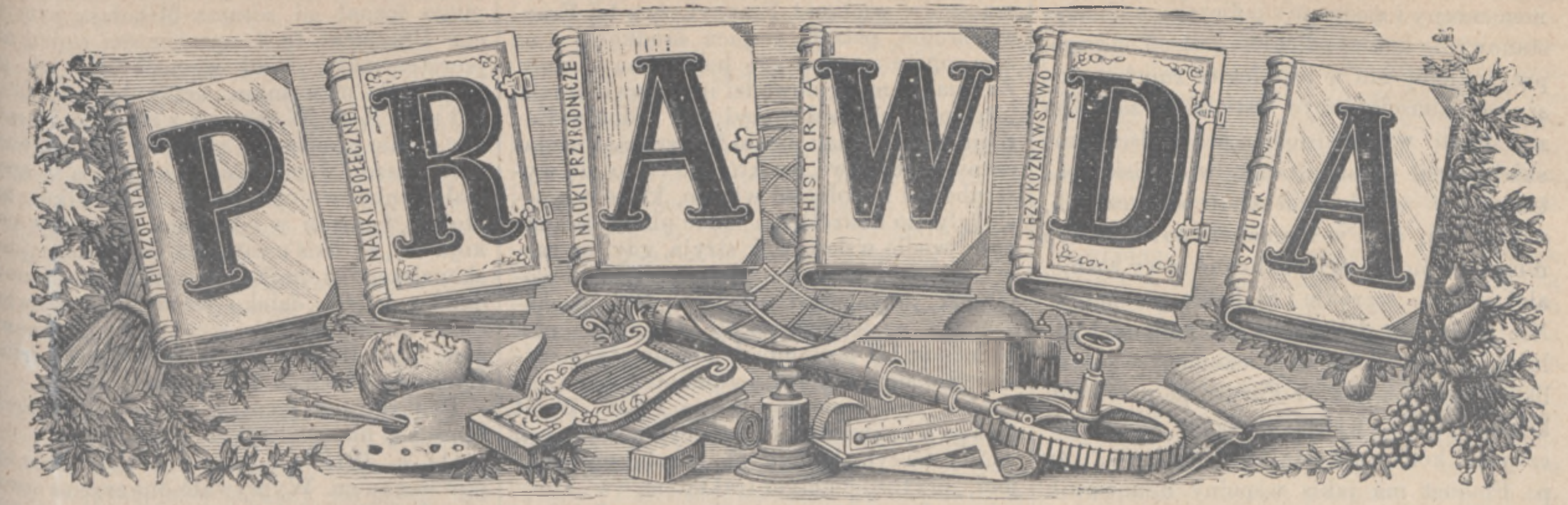
№ 38. Warszawa, dnia 17 (5) Września 1887 r. Rok VII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
w Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. abonentom przypominamy nadchodzący termin kwartalnej przedpłaty. Jednocześnie ponawiamy nasze poprzednie zawiadomienie, że dodatek nadzwyczajny, pierwszą część **Historyi XIX w.** otrzymają bezpłatnie ci tylko abonenci, którzy abonowali **Prawdę** przez cały rok bieżący. Inni, pragnący to dzieło nabyć, dopłacić raczą rs. 1.

POLITYKA.

FARBOWANE LISY.

Oblał przedtem pijane głowy zimną wodą, ks. Mikołaj Golicyn, w świeżo wydanej broszurze, będącej odpowiedzią na jeden z artykułów *Figara* o „teoryach Katkowa." Autor zajmuje stanowisko wydatne, książka jego wyszła z drukarni ministeryum spraw wewnętrznych i stanowczo akcentuje swą łączność ze sferami rządzącemi — wszystko to zachęca do zastanowienia się nad nią, tem bardziej, że doprawdy wymierza ona zasłużoną chłostę „sprzymierzeńcom."

Interes jest busolą polityki — niewątpliwie, ale dla sojuszów trwałych i on wymaga pewnych nici moralnych, pewnych pokrewieństw między spólnikami. Tymczasem — jeżeli nawet istnieje łączny interes walczenia z Niemcami — jakie inne węzły łączą Rosyę z Francyą? Przeciwnie, trudno byłoby wynaleźć w Europie dwa państwa, zostające względem siebie w stosunku bardziej przeciwległych biegunów. Co w jednem wyraża się przez *a*, to w drugiem przez *nie-a*. I na odwrót. Dla korzyści doraźnej mogłyby oba te mocarstwa zawrzeć kontrakt i — przypuśćmy — zjednoczyć w wojnie swoje armie; ale o sympatyach, umowach, działaniach pokojowych stałych dwu tak skrajnych przeciwieństw trudno mówić poważnie. Narwani, chęcią odwetu oślepieni a do wykrzyków toastowych zawsze skłonni pospieszyli z wieńcami na grób Katkowa, zapominając, że umarły każdym kątem swego widzenia różnił się od nich, że — jak powiada p. Golicyn — „nie uczuwał nigdy sympatyi ani dla krzykaczów Izby, ani dla pędziwiatrów z bruku paryzkiego, ani dla generała Ernesta (Boulangera), ani dla „loustics" prasy, ani dla wszelkich „pschutt'ów" towarzystwa, ani dla chełpliwości narodu francuskiego." Wielu z fabrykantów sztucznego przymierza, głosząc je, przeczyło wszystkim swoim zasadom, hasłom, instytucyom, a niektórzy nawet czynom. Taki np. Floquet, prezes Izby, który podczas wystawy odważył się wobec zmarłego monarchy rosyjskiego na znany wykrzyk..., ten — jak go ks. G. nazywa — *baryton de Vive la Pologne* — napisał Katkowowi czuły nekrolog, pełen łez, żalu i uwielbień; tacy pp. Déroulède, Lockroy i inni, którzy codzień znieważają podstawowe zasady ustroju państwowego Rosyi, wyciągają do niej ręce i rozrzewniają się w serdecznych uściskach. Ileż w tej komedyi jest kłamstwa, obłudy i przeniewierstwa! Już inny arystokrata, ks. Meszczerskij w swoim *Grażdaninie* odtrącił te ręce i tych przyjaciół, teraz ks. Golicyn siecze ich sarkazmem i wzgardą. „Co — woła — my mamy witać tych nieproszonych gości, dziękować im i ściskać serdecznie! Wszystko to obraża oczy rosyanina i nietylko oczy, ale także serce. Czy wielki patryota rosyjski przypuszczał, że na jego grobie spoczną wieńce radykałów francuskich! Dziwna ironia losu i kaprys historyi." Zaiste, dziwna. Floquet, Locqroy, Déroulède, klęczący przed cieniem Katkowa. Trudno o jaskrawsze widowisko.

„W zamian za przyjaźń naszą — pisze dalej autor — francuzi rzadko darzyli nas uznaniem i sprawiedliwością. Potwarze, drwiny i pamflety o Rosyi (które nieraz oburzały ces. Mikołaja), pisane często przez osoby, które wszystko zawdzięczały Rosyi, przez podróżnych, którzy opuszczali kraj, gdzie im kornie hołdowano — wszystko przychodziło do nas z Francyi i od francuzów... Żaden nie nauczył się ani słowa naszego języka... Nawet nasz alfabet wydawał się im trudniejszy od chińskiego... Z czerwoną, bezbożną — kończy autor — i rozkiełznaną Francyą monarchiczna Rosya nie może nigdy wchodzić w układy — nigdy!" Wnioski zaś swoje zamyka w twierdzeniach następujących: „1) sympatye rosyan dla francuzów w ostatnich 25 — 30 latach znacznie osłabły i zmieniły się; 2) idea związku z Francyą należy obecnie do sfery poltyki oportunistycznej i nie jest zależną od stopnia sympatyi między dwoma narodami."

Według nas pierwszemu z tych wniosków rzeczywistość odmawia poręczenia. Prywatna — że tak powiemy — sympatya w Rosyi dla francuzów trwa w dawnej mierze, tak jak jej nie ma względem niemców. Inaczej — a przyznajmy konsekwentniej — zachowują się uczucia urzędowe. Wszakże nie o to chodzi, ale raczej o to, że rosyanie trzeźwi w miłość radykałów francuskich wierzyć nie mogli, bo widzieli na ich czole znamię obłudy, która była tak wstrętną, jak wstrętnymi byłyby modły turka w kościele chrześciańskim. Cała Rosya — co słusznie zaznacza ks. Golicyn — jest jednem wielkiem zaprzeczeniem ideałów liberalizmu i radykalizmu francuskiego, zachwytu więc i przyjaźni wzbudzić w nim nie mogła. Trupa p. Derouleda odegrała lichą komedyę z farbowanymi lisami, a chociaż obałamuciła nieświadomych widzów przez chwilę, znawcom tego rodzaju sztuk odsłoniła tylko swój cynizm.

Broszura ks. Golicyna wymierza tym panom mocny i zasłużony policzek, a chociaż stanowisko autora odległem jest od naszego, przyznajemy mu w jego logice zupełną słuszność i konsekwencyę. Ostudzi on zapewne na długo w przedsiębiorcach nadsekwańskich zapał do urządzania widowisk teatralnych z zasad i przekonań politycznych, nauczy ich, że i w kłamstwie powinna być miara, że można przeskakiwać rowy różnic, ale nie ich szerokie i głębokie przepaście. Nie wiele już dziś fruwa tak naiwnych gilów, któreby dały się przekonać, że socyalista i republikanin w Paryżu po przebyciu kilku tysięcy wiorst zostanie monarchicznym konserwatystą w Moskwie, że p. Floquet ma jakiś wspólny mianownik z Katkowem, że kwadrat przystaje do trójkąta. Niedaleka przyszłość okaże, że z całej tej maskarady wymierzonej Niemcom francuzi odniosą tylko wstyd daremnej kompromitacyi. Pierwszą wypłatą tej należności jest broszura ks. Golicyna.

KONGRES POKOJU W GENEWIE.

Od dawna Liga pokoju nie była na takich godach, jak w roku obecnym, d. 4 września, na kongresie własnym. Kongresy swoje odbywa ona rok rocznie od lat dziewiętnastu. W początkach sprawiały one wrażenie, które pochodziło z przyczyn chwilowych, mających źródło swoje w opozycyi cesarstwa. Szeroko zabrzmiało i przebrzmiało było powiedzenie Napoleona III: *l'Empire c'est la paix*. Zobowiązanie to niezmiernie się podobało szkołom ekonomicznym, sferom przemysłowym i wszystkim Towarzystwom pokoju, pozawiązywanym przed r. 1869 w Anglii, Francyi, Holandyi i Stanach Zjednoczonych, kołaczącym o pokój bądź co bądź. Przypuszczać można, że Napoleon III, którego za język nikt nie ciągnął, zobowiązał się w szczerej chęci dotrzymania słów swoich. Nie obliczył się wszelako z warunkami, stanowiącymi istotę stosunków międzynarodowych, złożonych z pretensyj i zawiści wzajemnych a podszytych krzywdami rzeczywistemi i urojonemi, rozrzucającemi po powierzchni Europy zarzewia niepokojów. Nie obliczył się z tem. Wydawało się mu w prostocie ducha, wierzącego w wielkość Francyi, że z tej Francyi zrobić potrafi trzpień środkowy i na nim oprze równowagę polityczną Europy. Że miał tę myśl, dowodzi inne powiedzenie: „Bez pozwolenia Francyi ani jedno w Europie nie wystrzeli działo.“ Przeceniał i znaczenie mocarstwa, na którego czoło się wyszrubował i zdolności własne, które mu posłużyły do nakreślenia sobie planu działalności wedle wskazówek stryja, gdy ten rozmyślał na wyspie św. Heleny. Wielki wojownik przyznawał się do błędów, pochodzących z wojowniczości temperamentu. Napoleon III postanowił błędów tych wystrzegać się, nad temperamentem panować i pokój w świecie gruntować. I cóż? W lat dwa po wypowiedzeniu intencyj pokojowych wojnę toczył. Wojna skończyła się pokojem, przyozdobionym traktatem, w który cesarz francuzów wsunął paragraf jeden, zamiary jego pokojowe ujawniający. Wedle paragrafu tego gabinety, skoro pomiędzy niemi zajdzie wojną brzemienne nieporozumienie, zobowiązują się załatwiać je na drodze wybranego *ad hoc* sądu polubownego. Atrament, którym skreślone były podpisy pod traktatem paryzkim, nie zblaknął jeszcze, kiedy Napoleon III nową toczył wojnę. Znów pokój i znów traktat.

Wojny te ekonomistom, przemysłowcom, Towarzystwom pokoju, opinii publicznej do myślenia dały. Nie zgadzały się one z zaręczeniem cesarza francuzów i na odwrót, zaręczenie nie zgadzało się z niemi. Może jednak zgadzało się z traktatami pokojowymi? Może ręczyciel pokoju pokój drogą tą gruntował? Jęto się w traktatach rozpatrywać, analizowano je i z łatwością dostrzeżono, że każdy z nich nadęty jest burzami wojennemi — że w każdym paragrafie, w każdym wyrazie, w każdej niemal literze przysiadł Boreasz i nastawił się. Traktaty napoleońskie niczem nie różniły się od dawniejszych. Odkrycie to stropiło „Przyjaciół pokoju,“ o których pisze J. K-g. w artykule wstępnym *Tyg. ilustrowanego* (nr 243 r. b.), a którzy właśnie i szczególnie na *l'Empire c'est la paix* liczyli i tego byli przekonania, że pokój zależy od dobrej woli gabinetów, których dobra wola zależy znów od punktu ogniskowego trafnie wybranego, posiadającego w sobie siłę perswazyi i siłę zdolną w razie danym przymus w duchu pokojowym wywrzeć. Punkt taki nastręczał się sam: była niem Francya. Do niej się „przyjaciele pokoju“ zwrócili. Cobden utrzymywał osobistą z Napoleonem III przyjaźń—jeździł do Petersburga i w chwili przygotowań do wojny krymskiej uprzejmego doznał od cesarza Mikołaja przyjęcia. Przyjaźni te i uprzejmości wojen nie powstrzymały. Fakt wyraził się, jak go w pięknie napisanym artykule, przedstawił p. J. K-g. W tem się z nim zgadzamy; ale się nie zgadzamy, gdy powiada, że obecnie rzesze „więcej szczerości widzą w apostołowaniu wojny przez marszałka hr. Moltke,“ aniżeli w odezwach apostołów pokoju i „że dziś ewangelia karabina najdoskonalszego i najliczniejszych batalionów daleko *więcej*, daleko *szczerszych*, a zwłaszcza daleko potężniejszych liczy wyznawców, aniżeli nauka panów Elihn-Burrita, Ryszarda Cobdena i Brighta.“

Podkreśliłem wyrazy: *więcej* i *szczerszych*, które się nie zgadzają z istotą rzeczy.

Od r. 1815 pragnienie pokoju stało się powszechnem. Wypływało ono zrazu z uczucia, dotkniętego boleśnie „okropnościami“ wojny. Nie było w Europie rodziny, któraby nie opłakiwała kogoś ze swoich, poległego a przynajmniej okaleczonego na polu sławy. Sława grozą przejmowała poszkodowanych, których było *więcej*, aniżeli nieposzkodowanych i którzy, jak się zdaje, *szczerze* pokoju pragnęli. Tak było; to przeminęło i bezpośrednio po tem nastała epoka rozwoju przemysłowego, który na miejsce uczucia wprowadził interes, ogarniający masy ludności od góry do spodu i bodaj czy nie potężniejszy, jako dźwignia, aniżeli uczucie rodzinne i humanitarne. Każda fabryka z kapitalistą na czele i z secinami robotników przy maszynach, każdy handel *en gros* i każdy handelek, sprzedający pieprz na ćwierć łuty, każda eksploatacya rolnicza na szeroką skalę i każda ferma morgowa, wszystkie przedsiębiorstwa górnicze, kolejowe, kanalizacyjne, itd. itd. itd., zatrudniające ramion miliony, wszystkie zresztą banki, złocące baronów finansowych, cała ta wielomilionowa ludność, rozsiana na całej powierzchni Europy, pragnie, bo potrzebuje pokoju. A jest jej, zdaje się, *więcej*, aniżeli wyznawców ewangelii marszałka hr. Moltke — lekko licząc 100,000 na 1. A pragnienie jej jest *szczere*, bardzo szczere, wojna bowiem, tym co u góry zagraża ujmą w złoceniu, tym co u spodu — rzeczą straszną, przerażającą, rzeczą, o której oni wiedzą i którą znają: głodem — śmiercią nie na polu sławy, ale w kurczach żołądkowych, niesławną, obrzydliwą i bolesną. Pragnących pokoju jest stanowczo więcej, aniżeli wyznawców wojny — więcej wszędzie, w kraju każdym, w samem nawet zażewiu wojennem, w Niemczech.

NIEDZIELA.

OBRAZEK.

— Więc pan tu na polowaniu — wyrzekłem.

Zmierzył mnie wzrokiem z nieufnością, nieusprawiedliwioną wcale niewinną uwagą, czynioną jedynie aby przerwać przykre milczenie.

— Jak pan widzi — odparł szybko, poluję... poluję... Jestem namiętny myśliwy.

Wskazywał na broń niedbale porzuconą. Nie był to wcale dowód prawdy słów. Schylił się, podniósł ją i wywijając nią, szedł obok mnie drożyną, gdy tymczasem woźnica usiłował umożliwić dalszą jazdę.

— Jesteś pan myśliwy, a schodzisz niebacznie ze stanowiska.

Zrobił ręką ruch lekceważący, jaki zauważyłem już u niego w wagonie, chociaż tym sposobem zaprzeczał tylko wyrzeczonym słowom. Może zapomniał o nich.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu obok siebie i tylko słychać było szum wiatru, kołyszącego wierzchołkami drzew. Las gęstniał, podnosił się, mieszały się w nim drzewa różnolite. Ponure świerki do ziemi zwieszały gałęzie, na ich czarnej zieleni odcinały się brzozy o białej, atłasowej korze z liściem żółtym, podobnym do złotych płatków. Otulały je gęste leszczyny, dębczaki tworząc całą gamę kolosów. Na ziemi słały się mchy aksamitne, pokropione niby różnobarwnemi perłami porostem grzybów. A nad lasem rozciągał się blady błękit jesiennego nieba, skośne promienie słońca przebijały gdzieniegdzie liściaste sklepienie, wywołując bogatwo barw świetnych.

Powietrze przejęte było zapachem żywicznym, który rozchodził się ożywczo wśród leśnej wilgoci. Towarzysz mój zatrzymał się chwilę na polance, ozłoconej słońcem, migocącej rosą, wśród pajęczych tęczy babiego lata i wciągnął w pierś szeroko balsamiczne wonie.

— Ah! jaki ten świat piękny — zawołał namiętnie — jak rozkosznie jest oddychać.

Ale ten wykrzyknik, płynący z głębi serca, nie rozjaśnił mu czoła, na którem ciążyła burzliwa chmura.

W tej chwili posłyszeliśmy za sobą turkot bryczki, a jednocześnie jakby na pobudkę, zagrzmiała raźna nuta krakowska, którą pocztylion na trąbce wygrywał.

Szkoda była naprawiona, bryczka zatrzymała się tuż przy polance, na której staliśmy obadwa.

Chciałem się pożegnać z moim towarzyszem. Ale on, co tak skwapliwie podał mi rękę, teraz zdawał się zapominać o mojej obecności. Jakby mnie nie widział, stał z głową w tył przechyloną zapatrzony w lot jakiegoś ptaka, unoszącego się w przestrzeni, a postać jego w szarem ubraniu, ozłocona słońcem, odcinała się w całym młodzieńczym wdzięku na ciemnem tle lasu.

Patrzałem na niego, dopóki bryczka toczyła się przy polance; a ileż razy potem stawał mi w oczach smukły, gibki, z ciemnymi włosami, wydobywającymi się z pod miękkiego kapelusza, otoczony rozwianą w powietrzu pajęczyną, z delikatnym profilem, napiętnowanym tajemniczą rozpaczą, z oczami wlepionemi w błękit.

Inne wrażenia wkrótce zatarły ten obraz. Obok tego nieokreślonego cierpienia, stanęło cierpienie rzeczywiste, któremu mogłem przynieść ulgę. Zająłem się jak lekarz chorobą i wieczorem dopiero powróciłem do mego pierwszego stanowiska, gdzie miałem noc tę jeszcze przepędzić.

Zaledwie przecież zabierałem się do spoczynku, gdy przed dworem dał się słyszeć gwałtowny turkot i głos niespokojny, pytający o doktora. Po chwili do pokoju, jaki zajmowałem, wpadł młody jakiś człowiek.

— Szczęście, że pana zastał — zawołał. Zdarzył się straszny wypadek. Jeden z na-

Temi dniami zeszedłem się ze szwajcarem, przemysłowcem, który do Niemiec jeździł na wywiady i który, ponieważ w Lipsku uniwersytet kończył a z firmami berlińskiemi, wrocławskiemi, hamburskiemi i innemi w stosunkach handlowych pozostaje, miał wszelką do wymacania pulsów ludności łatwość. Wywiady prowadził sumiennie — badał w górze i u spodu — zapytywał w interesie własnym mocarzy i maluczkich i rozpoznał opinię publiczną, która: pragnie wojny dla pokoju.

— Niech się to raz skończy!.. — powtarzał mu każdy. Niech francuzi pobiją nas, jeżeli nie może być inaczej...

Tak się wyraża szowinista niemiecki w masach ludności.

Nie inaczej we Francyi, zbrojącej się od stóp do głowy, zaopatrującej się w pociski, które miasta całe wysadzić mają w powietrze, wyrzucającej miliony na próby mobilizacyjne i szykującej bataliony szkolne. Toż samo czyni Szwajcarya, która bataliony szkolne zaprowadziła u siebie o lat kilkanaście wcześniej, aniżeli Francya a towarzystwa strzeleckie od r. 1824 i zbroi się, ćwiczy, pokoju z duszy całej, z serca całego, całą interesów swoich najżywotniejszych potęgą pragnąc. Usposobienie takież samo sz. p. J. K-g., sądzący o rzeczach z pozoru, znajdzie w Anglii, we Włoszech, w Belgii, Holandyi, Skandynawii, wszędzie, gdzieby się jeno poinformować dokładnie zechciał.

Usposobienie to jasne i proste tłomaczy się za pomocą kierunku przemysłowego, w którym idzie ludność Europy i który obrzemienia troska stosunku pracy do kapitału, bliższa, delikatniejsza i ważniejsza, aniżeli wojna — troska, usunięcia której warunkiem koniecznym jest pokój.

Troska ta przenikała w czasie swoim panów Burritów, Cobdenów i Brightów, kołaczących do podwojów władców. Mieli oni za sobą Napoleona III i sądzili, że potrafią dobrać mu sprzymierzeńców i utworzyć ligę gabinetową, której *quos ego* będzie posiadało dostateczną do uciszenia wszelkiej burzy wojennej powagę i siłę. Zamierzali pod skrzydłem ligi tej zaprowadzić wolny handel i międzynarodową harmonię. Zamiarom tym zdawały się okoliczności sprzyjać: apostołom pokoju dawano chętnie i uprzejmie ucha i — na tem koniec. Wojna krymska, anglo-indyjska, wojna anglo-francusko-chińska, wojna włoska, secesyonistowska, powstanie polskie, wojna duńska, prusko-austryacka: oto różaniec, jaki się na *l'Empire c'est la paix* nanizał. Działa na wsze strony strzelały i Francyi o pozwolenie nie pytały, pomimo że opinia publiczna pokoju pragnęła i wciąż natarczywie pokoju się domagała. Emil Girardin na czele dziennika swego drukował codziennie dewizę: *Guerre à la guerre* — wojna wojnie. Wojował i nic nie wywojował.

Wówczas — około 1868 r. — spostrzeżono się, że do zapewnienia pokoju koniecznego w epoce przemysłowej, nie dosyć intencyj Napoleonów III. Skutkiem tego przedewszystkiem na intencye te padło podejrzenie o fałszywość. Może było ono niesłuszne — to jednak do rzeczy nie należy. Do rzeczy należy jeno uznanie niemożliwości pokoju w warunkach rozdźwięku pomiędzy przemysłowym charakterem epoki a ustrojem Europy. Z uznania tego wykwitła Liga pokoju, założona przez francuzów, niemców, włochów, anglików, belgów, szwajcarów, polaków, głównie jednak przez francuzów. Pierwsze istnienia jej chwile były świetne. Na kongresy jej zjeżdżały się znakomitości; mówców słuchały tłumy i oklaskiwały rezolucye, dające skazówki ustroju, zapewniającego pokój. Wystąpiły warunki, powołujące się na plany Henryka IV i Sullego, a oświecające się doktrynami opata de St. Pierre i Emanuela Kanta. Uzyskało to rozgłos, mianowicie we Francyi z powodu, że dawała opozycyi rewolucyjnej racyę jedną więcej, uznając istnienie cesarstwa za rzecz do uszczęśliwienia ludzkości zgoła niepotrzebną i *horrendum* takie głosem różnonarodowym wypowiadając na granicy francuskiej. Policya tajna sprawą tą się zajęła — nie na długo atoli. Nadszedł rok 1870—71. Liga burzy tej zażegnać nie zdołała.

Nie to się jednak do osłabienia jej przyczyniło, nie z tej racyi od kongresu w Lugano (r. 1873) wegetacyjny prowadziła żywot. Szkodził jej oportunizm, zaszczepiony we Francyi przez Thiersa, rozgłoszony przez Gambettę i przyjęty przez wszystkie stronnictwa, socyalistycznych nie wyjmując. Oportunizm po wsze czasy służył za regułę w działalności politycznej, ale zamykał się w gabinetach. Na sztandarach go nie wypisywano. Na sztandarach wypisują się zasady; on zaś jest wszelkich zasad przeczeniem, usuwającem z widoku cele takie, których ręką dostać nie można. Francya nim się przejęła tem łatwiej, że nazajutrz po podpisaniu traktatu pokoju we Frankfurcie ujrzała się zagrożona nową napaścią, której by Liga żadna odwrócić nie mogła. Nadto, wraz z zagrożeniem tem, po wypłaceniu pięciomiliardowej kontrybucyi, we Francyi nastąpił podziw wzbudzający rozkwit przemysłu, tak że narzucało się pytanie: azali warunki, jakie się po wojnie wytworzyły, nie czynią zadość wymogom przemysłowym? Publicystyczni ekonomiści na pytanie to odpowiadali potwierdzająco. Cóż więc tu miały zasady jakieś do czynienia? Z dziś na jutro szło wszystko dobrze. Byle licha nie budzić, to tak pójdzie dalej. W pochodzie tym wszakże nadeszło jutro takie, w którem się na rozwoju przemysłowym szczerby i rysy widzieć dały. „Niechaj no — powiadano — to przejdzie.“ Lata jednak mijają i niedomaganie wzrasta, służąc za podkład rozwojowi nie przemysłu już, ale siły zbrojnej, nieodpowiadającej ani trochę charakterowi epoki. „Niechajno“ już się nie nadaje. Oportunistyczne chwytanie się nadarzających sposobności straciło wiarę u ludzi przezornych, który, pozostawiając czynność tę Derouledom, widzą i uznają, że o przyszłości myśleć potrzeba i że jej nie można na nadarzających się opierać sposobnościach. Wymaga ona stalszego i pewniejszego czegoś.

Przejrzenie to i uznanie nastąpiło w Szwajcaryi — zagrożonej nie wojną samą, lecz następstwami jej, a niedomagającej na równi z sąsiedniemi mocarstwami. Nastąpiło ono w sferach interesowanych i rozumujących. Do Ligi zgłosiły się: loże masońskie i syndykaty robotnicze, wybierając ją pomiędzy mnóstwem towarzystw pokojowych dla warunków, od których ona ustrój pokojowy zależnym czyni. Towarzystw bowiem pokojowych jest dużo. Stowarzyszenia robotnicze poważniejsze, takie jak *Trade-Unions*, jak Rycerze Pracy, jak wiele francuskich i włoskich, zapisują pokój na naczelnem w ustawach swoich miejscu. Z pomiędzy nich wszystkich masoni i robotnicy szwajcarscy wybrali Ligę dla warunków zasadniczych, dla tego, że nie prosi o pokój bądź co bądź, dla tego, że za dewizę przyjęła: *Sivis pacem para — justitiam.*

D. 4 i 5 września r. b. Liga obradowała w sali Alabama, udzielonej jej przez Radę Stanu. Obrady otworzył p. M. Vantier, prezydent Rzeczypospolitej genewskiej. Sala była przepełniona. Na porządku dziennym znajdowały się dwie kwestye: Trybunał międzynarodowy stały i Alzato-Lotaryngia. Pierwszą rozstrzygnęła uchwała, wykazująca uzasadnioną potrzebę uprzedniego ukonstytuowania się Europy na podstawie *suum cuique*, drugą rezolucya, domagająca się dla alzato-lotaryńczyków prawa stanowienia samym o sobie. Dzienniki miejscowe szeroko się o obradach Ligi rozpisywały, zaznaczając zwrot ku niej opinii publicznej.

---

szych towarzyszów dostał postrzał w piersi. Pędziłem tu co koń wyskoczy. Może jeszcze jest ratunek.

Za chwilę byłem gotowy. Bryczka znów toczyła się szybko wilgotną drogą wśród lasu, którą jechałem dziś rano.

— Jakże się to stało? — spytałem.

— Jak zawsze, nieostrożność, fatalna nieostrożność. Henryk musiał zejść ze stanowiska, zapuścić się w gąszcz. Trafiła go zapewne kulka przeznaczona sarnie... Spostrzegliśmy to wówczas dopiero, kiedy zebraliśmy się wszyscy na umówionem miejscu a jego nie było. Myśleliśmy, że się zabłąkał, posłaliśmy szukać, aż wówczas znaleziono go broczącego we krwi.

— Gdzie? — zawołałem, tknięty przeczuciem dziwnem.

Towarzysz mój spojrzał na mnie zdziwiony.

— Nie znasz pan miejscowości — odparł; leżał tu niedaleko, na przydróżnej polance.

W oczach moich zarysowała się nagle postać szara, oblana słońcem, na tle leśnej zieleni.

— I pan sądzisz — spytałem — że to prosty wypadek?

— Nie miałem czasu oglądać rany. Ale cóżby być mogło? Henryka znamy wszyscy. To najszczęśliwszy człowiek pod słońcem, uśmiechało mu się wszystko. Fortuna, młodość, miłość. Miał się żenić za parę tygodni.

Umilkłem i jechaliśmy dalej czarnym gąszczem lasu.

Przy bladem świetle gwiazd rozpoznałem polankę, na której rozmawialiśmy przed kilku godzinami.

— To tu znaleźliście go zawołałem.

— Skąd pan wiesz? — zapytał zdziwiony.

— Gdzież on jest, czy daleko?

— Zanieśli go do Rajowic. Tam zaraz za lasem.

Ogniste konie, gnane biczem, pędziły jak szalone, lekki wózek podskakiwał po korzeniach, czasem gałąź uderzyła nas po twarzy, czasem gdzieś zgłębi ozwał się złowrogi głos nocnego ptaka.

Minęliśmy wreszcie las, w oddali ukazał nam się dwór, patrzący dziesięcioma gorejącemi oknami w noc czarną. Za temi oknami snuło się pełno postaci. Kilka osób wybiegło na ganek.

— Jest doktor — wołano.

— Cóż Henryk? — pytał mój towarzysz.

Odpowiedziano mu charakterystycznem ruszeniem ramion.

Było mi równie pilno zobaczyć rannego, jak im podać mu pomoc; chociaż wszelka pomoc była tu daremna, oni już wiedzieli o tem dobrze.

Nie zawiodły mnie przewidywania. Ujrzałem na białości poduszek odcinającą się martwą prawie twarz bez krwi, okrążoną ciemnymi włosami, którą miałem ciągle przed sobą. Oczy jego szkliste, nie zatrzymywały się na żadnym z obecnych, stały słupem zwrócone w przestrzeni, jak wówczas gdy patrzał w błękit, tylko bez blazku, bez życia.

W otaczających znać było daleko więcej przykrości niż smutku, wypadek ten zmącił im zabawę, stawiał przed oczy nieuniknioną kres życia, od którego młodzi i szczęśliwi odwracają się tak chętnie, a przytem sprawiał im i mógł sprawić wiele bardzo kłopotu. Przezorniejsi rozjeżdżali się czem prędzej. Umierający był pośród nich samotny.

Nie poznał mnie gdym się zbliżył i zacząłem badać. Krew uszła, zaledwie słabo uciekające uderzenia pulsu wskazywały, że życie tlało w nim jeszcze. Postrzał rozdarł płuca, rana była bezwarunkowo śmiertelna. Oglądałem ją i nagle podniosłem się z nad łoża.

— Panowie — zawołałem — tu nie ma wypadku, jest samobójstwo. Postrzał skierowany był z dołu do góry, lufa przyłożoną była do ciała.

Nikt nic nie odpowiedział. Obznajomieni

Zwrot ów wydaje się mi naturalnym. Pod groźbą wojny na włosku wiszącej i nieuniknionej, przychodzi mimowolnie zapytanie: „Cóż potem nastąpi?“ Potrzeba jakiejś wytycznej, jakiejś drogi, jakiejś zasady, któraby przewodniczyła i za pochodnię służyła. Obradom, jak zwykle, patronował Kant, przewodniczyli pp. Renand, członek rady kantoru Newszatal i Karol Lemonnier.

T. T. Jeż.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Małym miastom, a często osadom historya przeznaczyła teraz rolę intrygowania świata. Aleksandrów, Kromieryż, Skierniewice — ileż te nieznane przedtem Europie kotliny nadrażniły ciekawości! Obecnie wystawia ją na próbę Szczecin, który do dnia dzisiejszego (środa) jest przedmiotem baczności reporterów i odgadywań polityków: czy tam odbędzie się zjazd monarchów, czy też nie. Naprzód ogłosiły tę wiadomość za pewną prawie wszystkie dzienniki europejskie, potem zaprzeczyła jej *Nordd. Allg. Ztng*, ale znając z przeszłości taktykę organu kanclerskiego, który sam wyznał, że „często klamie dla wyższych względów, po zaprzeczeniu uwierzono tem silniej. Dotąd tyle wiadomo, że ks. Bismark do Szczecina nie pojedzie, a „skoro — rozumuje *Köln. Ztng* — on nie pojedzie, nie można się tam spodziewać wielkiej akcyi politycznej.“ Na małą wysłano p. Böttichera, który wraz z Moltkem towarzyszy cesarzowi. Tymczasem monarcha niemiecki przygląda się manewrom swych wojsk.

To niebezpieczeństwo, którego Bułgarya powinna była obawiać się i strzedz najbardziej — rozkładu i waśni w łonie dotychczasowych jej rządów — nastąpiło. Odkryto spisek Radosławowa przeciw Stambułowowi — to znaczy: odkryto, że jedność prysła i ustąpiła miejsca walce intryg osobistych. W państwie bułgarskiem objawiła się tedy zgnilizna, z którą Koburg nie da sobie rady, jeżeli jej wcześnie nie wydrze z korzeniem. Jednocześnie ma on przeciw sobie skutkiem zniesienia stanu oblężenia rozpętanych wrogów całej battenbersko-koburskiej roboty. Karawełów zaczął wydawać gazetę p. t. *Tirnowskaja konstitucja*, w której oświadczył, że ks. Ferdynand wstąpił na tron nie z woli narodu, ale z woli Stambułowa. Stronnicy tego ostatniego zburzyli dom i drukarnię gazety, a policya ledwie ich powstrzymała od dalszej pomsty.

Zewnątrz nie lepiej. Chwilowo zdawało się, że ks. Bismark przyjmie ofiarowane mu pośrednictwo i rozpląta węzeł; teraz wszakże widać, że on woli wymknąć się od tego zaszczytu. Godności ma dosyć, ale nigdy nie dosyć ma „interesu Niemiec,“ jedynego na świecie dobra, jakie uznaje; ten interes zaś wymaga, ażeby między mocarstwami utrzymywać ciągłą niezgodę i tylko gdy które chce rzucić się do walki, podstawić mu nogę.

Z powodu zaaresztowania jednego z posłów irlandzkich i rozpędzenia meetingu starcia angielsko-irlandzkie wybuchły znowu. Jak zwykle, obie strony przyznają sobie słuszność a przeciwników obwiniają o gwałt. Stłumią jakiś wybuch dziś, objawi on się jutro, dopóki gospodarka trwać będzie według praw wyjątkowych i dopóki rządów nie obejmie umysł mniej ciasny, niż Salisburego. Wązko-głowy lord, zdolny zaledwie do pobierania czynszów dzierżawnych, ale nie do rozstrzygania wielkich spraw społecznych, grozi ustąpieniem z powodu choroby. Powinien był to już dawno uczynić, bo prawdopodobnie urodził się kaleką.

W Zagrzebiu obaj Starczewicze, znani przywódcy partyi narodowo-radykalnej za oszustwa skazani zostali na kilkomiesięczne więzienie.

Z powodu pojawienia się cholery, w wielu miastach włoskich wybuchły zamieszki. W Foretta lud zburzył merowstwo.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY Z GALICYI.

Lwów, 19 września.

Echa podróży cesarzewiczostwa.— Kwestya ruska.— *Mir* i *Słowo*. — Klęski z powodu licznych pożarów.— Ustawa drogowa a krótkowidzący politycy. — Dr Starzyński. — Teatr. — Św. Zawadzki i Dzwonkowski.

Przebrzmiały echa uroczystości na cześć następcy tronu austryackiego. W dziennikach już nie znajdujemy całoszpaltowych sprawozdań o świetnem lub imponującem przyjęciu dostojnego gościa, ani zapewnień lojalności, wiernopoddańczości itp. brylantowych frazesów, ani szumnych mówek. Nastała chwila rozpamiętywania i obliczania kieszeni. Bo też owo wystawne przyjęcie mocno szarpnęło niejednego obywatela galicyjskiego, co chciał, wierny tradycyi przodków, z „godnością“ powitać przyszłego monarchę. To też z lżejszą sakiewką i nie tak gromadnie jak innych lat puszczono się do wód zagranicznych, by tam nieco „zadać szyku.“ Teraz już wracają ptaki wędrowne, chociaż w tym roku pogoda do dłuższego pobytu w kąpielach wabi.

Zawadziliśmy jeszcze o owe uroczystości przyjęcia cesarzewiczostwa, bo obok wielu ujemnych skutków pociągnęły one za sobą i pewne dodatnie. Przygłuszyły bowiem alarmy wojenne, które odrywają od pracy i zatrudnienia i zabierają drogi czas a nadto zbliżyły do siebie dwie powaśnione narodowości polaków i rusinów. Mówimy: zbliżyły, gdyż łączył je jeden cel i sposobność urządzania wspólnie korowodów z pochodniami, iluminacyi, okrzyków, mów ognistych itp. Nie chcemy wątpić, że szczerość cechowała te występy a jakkolwiek odpowiedź cesarzewicza dana metropolicie tudzież przedstawicielom „Narodnego domu“ dwojakie przypuszczała tłomaczenie, to jednak pewna, że obie narodowości mogłyby ten czasowy sojusz zamienić na trwały.

Ani zgliszcze Stryja, ani popielisko Liska, ani pogorzelisko Sassowa nie przekonały widocznie naszych władz autonomicznych o potrzebie poparcia starań gmin, zwłaszcza wiejskich, około zorganizowania straży pożarnych i sprawienia choćby najpotrzebniejszych przyrządów do gaszenia ognia. Ostatnimi czasy i to bądź równocześnie, bądź w krótkich odstępach, stało się pastwą płomieni przeszło 35 chat, zagród, domostw i zabudowań gospodarskich, przedstawiających wartość około 100,000 guldenów — z tego ani $1/5$ nie była ubezpieczoną! Nie jestże to aż zanadto wymownym dowodem ociężałości i niedbalstwa tych, co pod innym względem zapewniają lud o swej pieczołowitości, narzucając się mu na opiekunów, a w sprawie tak ważnej nie chcą wziąć inicyatywy i przyjść ze skuteczną radą i pomocą.

Smutnym objawem krótkowidztwa naszych „mężów stanu“ jest zarazem uchwalenie a obecnie wprowadzenie nowej ustawy drogowej, wkładającej na przeciążone i tak barki ludu nowe ciężary. Kilka gmin wschodniej i zachodniej Galicyi w powiecie rudeckim, turczańskim i łańcuckim sta-

---

z bronią pojęli to dobrze za pierwszem obejrzeniem rany.

Teraz ta śmiertelna rana była krwawym kluczem zagadki jego rozstroju, teraz wszystkie bezładne z pozoru słowa i czyny wiązały się w zrozumiałą całość. A chrapliwy oddech wydobywający się z piersi, kładnący mu krwawą pianę na wargi, zdawał się dopowiadać epilog nieodgadnionej powieści życia.

— Czy wezwano rodzinę jego, narzeczoną? — spytałem.

Do tej chwili nie pomyślano o tem. Gospodarz domu powstał by wydać stosowne rozkazy.

Ale umierający słowa moje dosłyszał. Do gasnącego oka powróciła na chwilę iskra przytomności. Usiłował poruszyć ręką, chciał czegoś. Skupiliśmy się przy łóżku, nachylili ku niemu.

— Ona niech nie wie, niech nie wie nikt... Przypadek — wyszeptał z wysileniem.

Były to ostatnie słowa, wola i tchnienie ostatnie. Zrozumieliśmy ją wszyscy. Składał nią jeszcze dowód miłości dla tej, którą kochał, nie chciał by wiedziała, że opuścił ją dobrowolnie.

A jednak do samobójstwa tego pchnęła go jakaś konieczność, przeciw której buntowała się jego istność cała. Jam jeden może widział jak walczył, jak cierpiał, kiedy wśród dnia słonecznego, pasował się z widmem śmierci i wołał że świat ten jest piękny, że rozkosznie jest oddychać.

Jeden po drugim uczestnicy polowania wysunęli się z tego śmiertelnego pokoju, i ja nie miałem tu co robić. W braku innej ręki zamknąłem mu powieki a czyniąc to, spojrzałem raz jeszcze na tę bladą twarz, na którą śmierć położyła pieczęć spokoju, kontrastującą dziwnie z burzą dni ostatnich. Ściągnięte bólem rysy, wypogodziły się, miały nawet coś podobnego do uśmiechu, jakby unosiły z sobą do grobu ostateczne ukojenie.

Wychodząc spotkałem się z niedobitkami polowania. Naturalnie wszyscy rozprawiali o tem co się stało. Postanowiono nadać tej śmierci pozór wypadku. Taka była ostatnia wola samobójcy, widoczna nawet w tym fakcie, iż naumyślnie szukał polowania, ażeby śmierć swą upozorować.

Zabił się. To było pewne. Ale dlaczego się zabił?

Pytanie to było na wszystkich ustach.

Któż przeniknie duszę drugiego człowieka, kto zbada proces duchowy wkładający mu w rękę broń morderczą? Czyż życie niedość ma stron rozpacznych? Czyż zresztą co dnia nie spotykamy się ze zjawiskiem dobrowolnej śmierci, której nic z pozoru nie usprawiedliwia. Powodów cierpienia jest tak wiele a wesela tak mało.

— To zboczenie umysłowe, czyste zaleństwo — wyrokował z niezachwianą pewnością siebie brunet z zaokrągloną twarzą, na której znać było doskonałą równowagę niezbyt rozwiniętego umysłu. Wiadomo, że człowiek w normalnym stanie, na swoje życie się nie targnie.

— Cóż znowu — przerwał szczupły blondyn, z widocznem lekceważeniem dla teoryi okrągłego bruneta, samobójstwo znamionuje wyższą naturę, która znieść nie może ohydnych warunków bytu, zadowolnić się dolą jaka nam przypadła w udziale.

— Ależ nie brakowało mu nic, nic wcale — wołał brunet. Miał majątek czysty jak bursztyn, depozyt w banku; kochał się w ślicznej pannie i ona w nim. W takich warunkach tylko szalony targnie się na swoje życie.

— Cóż stąd! Najszczęśliwsze życie ma jeszcze nędz tysiące.

Na ten temat sprzeczali się dalej.

— Może — wyrzekłem zwracając się do gospodarza domu — zmarły zostawił jaki list, jaką wskazówkę.

Ale poszukiwania okazały się daremne. Walizka jego nie zawierała żadnego papieru, żadnego świstka. W pugilaresie tylko

wiło opór wykonaniu owego prawa, tak iż dopiero trzeba było użyć zbrojnej interwencyi dla stłumienia buntu. Tak to zwykle bywa z naszymi wielkimi politykami: w teoryi przyjaciele i obrońcy ludu, w praktyce — przyjaciele i obrońcy własnego interesu.

Przejdźmy na pole literackie i artystyczne. Docent uniwersytetu lwowskiego i poseł do Rady państwa dr Stanisław Starzyński wydał pod tytułem *Sesya sejmowa* obszerną książkę, rozpatrującą prace sejmu galicyjskiego w ostatniej sesyi. Na wstępie znajdujemy historyczny pogląd na ich rozwój, krytykę ze stanowiska prawnego i ustawodawczego. Treść stanowią: budżet, szkoła, melioracye i kultura krajowa, sprawy drogowe i kolejowe, administracyjne, bankowe, przemysłowe, reforma wyborcza i gminna nadto uwagi ogólne. Treść ta opracowana źródłowo, z talentem i znajomością.

Personal operetkowy wrócił z wycieczki do Krakowa— jak nas zapewniają — z kilkutysięcznym deficytem, lubo przedstawienia cieszyły się licznym udziałem publiczności. Podwoje świeżo i ładnie odmalowanego teatru lwowskiego otworzono w ostatnich dniach zeszłego miesiąca. Porę jesienną rozpoczęto gościnnymi występami p. Bolesława Ładnowskiego. Znacie go, więc tylko zaznaczę, że kiedy dawniej, jako członek tutejszego teatru, reżyser i przez pewien czas artystyczny dyrektor, porywał nas ogniem, poprawną dykcyą, oryginalnością i siłą, tym razem podziwialiśmy w nim głębsze pojęcie roli i staranniejsze obrabianie szczegółów. Wystąpił tu w trzech sztukach: komedyi Zalewskiego *Przed ślubem*, w dramacie Ohneta *Właściciel Kuźnic*, wreszcie w *Aktorach dworu* Wartenburga, ściągając na wszystkie przdstawienia liczną publiczność i zyskując rzęsiste oklaski.

Wcale udatnie wystawiono tu nową sztukę: *Przyjaciel domu* Labiche'a i Delacoura. Lekka ta komedya fracuska zawiera w sobie wiele zabawnej niemoralności, wesołej zdrady małżeńskiej, wiele nieprawdopodobnych, ale do śmiechu pobudzających sytuacyj. Niektóre dyalogi są trochę za długie, nużące i bez dowcipu i brak im związku z całością. Gra artystów i artystek wypadła nie źle.

Na zakończenie wspomnieć musimy o bolesnej stracie, jaka kraj nasz dotknęła zgonem dwóch wybitniejszych członków naszej delegacyi w Radzie państwa. W jednym dniu zmarł poseł z Tarnowa i prezydent tamtejszego sądu obwodowego, Ryszard Zawadzki, znakomity prawnik, żołnierz na barykadach lwowskich z r. 1848, człowiek nieskazitelnego charakteru i wielkiej zacności — zalety coraz rzadszych. Następnie opuścił nas Edmund Dzwonkowski, wzorowy rolnik doskonały znawca i hodowca koni rasowych, nadto inicyator i najgłówniejszy popieracz przemysłu naftowego, któremu oddał niepomierne zasługi. Nadto gorliwy obywatel o czystym i nieskazitelnym charakterze.

L. K. S.

JĘZYK POWSZECHNY.

Każda nowa myśl ma dla tłumu oblicze albo potwora, albo błazna, przeraża lub śmieszy. Bawiono się też z wynalazkiem Jana Marcina Schleyera serdecznie, a gama uciechy szła przez najrozmaitsze tony — od parskań dziewczątek chichotliwych aż do tubalnego pohukiwania podpór społeczeństwa. Schwytano instrumencik, przed którym pryskała najposępniejsza powaga. Volapük! Ha, ha, ha! Dotąd jeszcze po kątach pism peryodycznych reporterzy wyprawiają sobie z niego wesele. Bo volapük ukazał naprzód światu twarz błazna.

Jego rodzic patrzał na ten urągliwy taniec wywieszonych języków około drogiego dziecka z bolesnym żalem, dzieląc się nim, jak i nędznym chlebem książęcej emerytury, ze starym ojcem i siostrą. Biedny kaleka wierzył, że nie spłodził głupstwa, ale przykro mu było, że żartownisie otwierali mu gościnnie drzwi domu... obłąkanych. Odpocznij tam — wołano — szanowny czarodzieju, który wrzuciłeś do tygla 60 języków i wysmażyłeś z nich *homunculusa* mowy ludzkiej — mowę wszechświatową — Volapük! Ha, ha, ha!

Niema jeszcze ośmiu lat, jak ks. Schleyer wystąpił ze swym pomysłem — to nawet dla naszej epoki oświeconej przeciąg czasu za krótki do zupełnego wyśmiania się. Więc kocia muzyka dla Volapüku jeszcze brzmi, ale już cichnie, a jednocześnie wzmaga się chór rozumowań istotnie poważnych. Bo dzisiejsza tortura śmiechu trwa krócej, niż dawniejsze tortury ognia lub kleszczów. Zastosowanie telefonu w średnich wiekach kosztowałoby parę tysięcy ofiar, dominikanie z jezuitami sądziliby i palili heretyków przez dziesiątki lat — w naszych czasach podrwiono trochę z niemiecko-amerykańskiego konceptu i zaczęto go wprowadzać w całym ucywilizowanym świecie. Dziś mównik elektryczny jest niemal w powszechnem użyciu.

„Język powszechny“ dotyczy nie samego pożytku, lecz potrąca o wiele uczuć, z któremi zawsze sprawa trudna. Skutkiem tego wsuwał się powoli do życia, ale wszedł.

Osamotniony, ośmieszony jego twórca doczekał wreszcie chwili tryumfu, który coraz bardziej rośnie, potężnieje, aż wreszcie uciszy kiedyś wrzawę szyderczą. Od pewnego, niedawnego dnia zaczęły do marzyciela płynąć listy, telegramy, pozdrowienia i objawy czci. Krąg nowej idei rozszerzał się. W samych Włoszech zawiązano 8 stowarzyszeń, a wogóle około 120. Liczba wyznawców Volapüku przeszła już 200,000, a używa go dziewięć pism (w Konstancyi, Wiedniu, Monachium, Wrocławiu, Paryżu, Medyolanie, Aaalbergu, Portorico). Oświadczyło się za nim wielu znakomitych uczonych: słynny językoznawca Max Miller (Oxford), profesor uniwersytetu w Halli A. Kirchoff i inni. R. 1885 odbył się pierwszy zjazd volapükistów w Friedrichshofen, drugi w Monachium zeszłego miesiąca. Wykłady A. Kerckhoffa w Paryżu gromadziły po kilka tysięcy słuchaczów wszelkich sfer. Niektóre wielkie zakłady handlowe wykształciły swoich oficyalistów w języku powszechnym. Właściciel słynnych „Grands Magasins de Printemps“ zamówił lekcye dla 121 swoich podwładnych i obecnie na drzwiach jego sklepów czytać można napis: „Volapükon“ (mówi się volapükiem). Za tym przykładem poszły inne wielkie miasta Francyi i Niemiec. W Wiedniu za zgodą ministra urządzono kursa w uniwersytecie i szkole technicznej.

Ale co to jest i na co? — zapytacie.

Sama idea nie nowa. Zrodziła się ona już w głowie W. Leibnitza, wskrzeszali ją potem inni uczeni w XVII i XVIII w. Wszyscy usiłowali różnojęzyczny Babel ludzkości w stosunkach zwykłych i koniecznych sprowadzić do jednej wspólnej i łatwej mowy. Dotąd bądź skutkiem międzynarodowych zawiści, bądź też skutkiem trudności nauczenia się jakiegokolwiek języka obcego, z całym jego ogromem słownikowym i powikłaniami gramatycznemi, nie mógł żaden stać się organem powszechnym. Dla pogodzenia więc pretensyj i ułatwienia nauki należało stworzyć taki, któryby był esencyą wszystkich, a jednocześnie zawierał możliwe uproszczenia form. Warunkom tym

---

była fotografia kobiety, którą widziałem w Skierniewicach i w notatniku zapisana data jutrzejszej niedzieli.

Oto wszystko. Zeszedł do grobu w zupełnem milczeniu, bez słów, bez tłomaczeń, tajemnicę śmierci unosząc ze sobą.

— Czy nie miał nieprzyjaciół — rzuciłem wśród trwającej dysputy bruneta z blondynem.

— Gdzież tam, kochali go wszyscy — zaryczał optymista.

Lecz przeciwnik jego pochwycił w tej chwili.

— Miał zazdrosnych, to niezawodne.

Obecni zaczęli sobie przypominać najdrobniejsze szczegóły jego życia, i z różnych urywanych zdań można było wysnuć jakiś cień podejrzenia. Gdy się zaręczał był ktoś zakochany bez nadziei w jego narzeczonej co odgrażał się, że szczęście jego zmąci, zniweczy. Krążyły głuche wieści o jakiejś sprzeczce, o pojedynku, te jednak nagle ucichły. Tak twierdzili jedni, zaprzeczali inni. Zmarły nie miał ani blizkich krewnych, ani nawet serdecznego przyjaciela, którybym mógł rozjaśnić zagadkę jego śmierci. I zagadką miała ona pozostać wiekuiście.

Nazajutrz znów siedziałem w wagonie powracając tą samą drogą, którą jechałem dzień przedtem. Słońce znów świeciło pogodnie, znów ciepłe jego promienie mieniły się tęczą w rozsnutych pajęczynach, migotały w kroplach rosy i przyoblekały świat świąteczną szatą.

Wraz ze mną jechał jeden z uczestników polowania, ażeby ostrożnie oznajmić wieść złowrogą jego narzeczonej.

Była to niedziela. Gdy mijaliśmy przydrożne wioski, dolatywały nas dźwięki rozkołysanych dzwonów, rozbrzmiewających wesoło w cichem powietrzu, a tłum świąteczny, różnobarwny świecił w słońcu jak wiązanki kwiatów rozrzucone po zieleni pól i po kurzawie dróg.

Stanęliśmy znów przed stacyą, na której on żegnał ukochaną, wiedząc dobrze, iż nie zobaczy jej więcej. Amerykan zaprzężony bułanemi końmi stał za baryerą a na peronie była ona z ojcem, i czekała według obietnicy, wodząc niecierpliwym wzrokiem po wagonach, otwierających się zbyt powolnie według jej chęci.

Jakże piękną była w tej chwili! Oczy jej błyszczały, twarz lekko zarumieniona ożywiał uśmiech, który zdawał się wypowiadać tajemnicę jej miłości i szczęścia.

W miarę przedłużającego się oczekiwania, widziałem jak fałdowało się delikatne jej czoło, widziałem jak zbladła gdy towarzysz zmarłego powoli wysiadł z wagonu i szedł ku niej z urzędową żałobą na twarzy.

— Henryk! — zawołała — podbiegając ku niemu.

Młody człowiek zapewne przez całą drogę układał jak ma spełnić swoje posłannictwo, a jednak spotkawszy niespodzianie owdowiałą narzeczoną zmieszał się i nie znajdował słów stosownych.

— Henryk! — powtórzyła — nie odbierając odpowiedzi, a powtórzyła z akcentem trwogi.

Wzrok jej utkwił w nim błyszczący, groźny niemal.

Jedno wyrzeczone słowo miało ją okryć żałobą, szczęście w rozpacz zamienić. Rad byłem, że nie na mnie spadł ten straszny obowiązek. Rad byłem nawet gdy pociąg ruszył, zostawiając za sobą tę scenę boleści.

A dzwony brzmiały wesoło w poblizkim kościele, śpiewały świąteczne grupy ludu rozrzucone w około po ścieżkach i drogach, słońce świeciło całym blaskiem południa a grupa dzieci, skacząc na piasku, wykrzykiwała:

Oj niedziela, niedziela!
Co uciechy wesela!

W. Marrené.

odpowiada Volapük, który w słowniku zgromadził pierwiastki wspólne językom europejskim, a w gramatyce reguły najprostsze, naturalnie pozbawione wszelkich wyjątków. Dzięki temu dwoje ludzi obcych narodowości może po kilku dniach nauki Volapüku rozpocząć z sobą korespondencyę.

Na ustach czytelników moich drży niespokojne pytanie, któremu tu odpowiem: więc mamy się wyrzec języka ojczystego dla jakiejś sztucznej mieszaniny? Przenigdy! Ani swego, ani ważniejszych innych. Volapük przez swe nadzwyczajne zmniejszenie środków i uproszczenie postaci mowy nie chce i nie może być językiem literatury i wkraczać w życie rodzinne narodów. On tylko pragnie ułatwić im porozumiewanie się w stosunkach praktycznych, handlowych, towarzyskich, uwolnić ludzi od wzajemnej niemoty lub potrzeby uczenia się mnóstwa gramatyk i słowników. Jeżeli wszyscy ukształceni go przyjmą, każdy z tym kluczem objedzie kulę ziemską i wszędzie usta cudze dla siebie, a swoje dla innych otworzy.

Jak sama idea jest godną przyszłości, dowodem nietylko jej liczni wyznawcy, ale i reformatorowie. Ukazała się ona w odmiennym kształcie i na naszym widnokręgu. Dr. Esperanto wystąpił z polskim wykładem innego *Języka międzynarodowego* (Warszawa, 1887), również prostego i zredukowanego. Słownik zawiera tylko 900 słów, gramatyka łatwa, a cała nauka wymaga kilku godzin. Twórca zaprasza do niej wszystkich i prosi o nadesłanie mu obietnicy piśmiennej, że każdy wyuczy się tej mowy, jeśli 10 milionów ludzi złoży takież przyrzeczenie. Nadzieja płonna, a przedsięwzięcie chybia celu. Skoro bowiem już istnieje znacznie rozpowszechniony Volapük, świat go nie rzuci i do nowego języka powszechnego nie przejdzie. Jeśli autor sądził, że jego wytwór jest doskonalszym, należało go przedstawić w towarzystwach i na kongresach volapükistów i tam pozyskać uznanie. Ogół, wezwany do „głosowania powszechnego,“ zawsze oświadczy się za tym językiem, który już ma licznych wyznawców.

Pragnęlibyśmy, ażeby ich zastęp pomnożyli i nasi czytelnicy. Profesor historyi w szkole politechnicznej w Reggio, A. Ferretti powiedział niedawno, że imię Schleyera zapisane będzie w księdze historyi złotemi głoskami. Niema w tem zdaniu przesady. Idea języka powszechnego zwycięży i w zbrataniu narodów odegra ważną rolę. Jeżeli dyplomacya i kościół posiadają taki język, czemuż go nie miała posiąść ludzkość cała?

G.

BADANIA NAUKOWE.

ŻYCIE SPOŁECZEŃSTW*).

Pozostawmy kawałek żelaza w wilgotnem powietrzu; chemia powiada, że okryje się ono rdzą po upływie niejakiego czasu. Jeżeli znamy jego rozmiary, oraz objętość powietrza, jeżeli znamy wszystkie warunki fizyczne zetknięcia się obu tych ciał, możemy z wszelką ścisłością określić wielkość utlenienia oraz zmiany w żelazie i powietrzu. Gdyby znalazł się historyk, któryby zadał sobie pracę skreślenia dziejów tego kawałka metalu, wyrzekłby to, iż otoczenie wywarło swój wpływ. I człowiek, podobnie jak ta bryła martwego metalu, nie wymyka się z pod prawa podlegania oddziaływaniu ze strony otoczenia, chociaż złożoność, delikatność i ruchliwość jego natury czynią przebieg trudniejszym do ujęcia i skreślenia. Niewątpliwem jest jednak, iż, jak losy żelaza zależą od ilości i wilgoci powietrza, tak i ludzkie są nierozerwalnie związane z warunkami otoczenia. Wola człowieka okazuje się bezsilną w zastosowaniu tych wpływów.

Wśród otoczenia, w którem przebywa jednostka, należy przedewszystkiem wyróżnić społeczne, złożone z ogółu warunków, stworzonych przez obecność innych jestestw pokrewnego rodzaju; w zastosowaniu do człowieka będzie to całokształt wpływów, wywieranych przez istnienie innych ludzi. Wpływy społeczne zmieniają się wraz z otoczeniem. Zatrzymajmy się choćby nad najniższem stworzeniem organicznem—monerą. Zazwyczaj żyje ona samotnie; lecz są wypadki, kiedy łączy się w kolonie, jak *Mixodyctum sociale*. Jest to gromada moner, połączonych w całość niciami protoplazmy, po przez które pokarm przepływa od jednych osobników do drugich. Oczywiście, życie monery, póki ona przebywa w samotności, musi upływać inaczej, niż kiedy splata się z innemi w kolonię. Wtedy każdy „obywatel,“ któremu udało się pochłonąć z otaczenia pożywienie, dzieli się z towarzyszami; pojedyncze monery nie potrzebują uganiać się za zdobyczą — każda czatuje na stanowisku. Oszczędza sią dzięki temu sporo wysiłków i rozszerza pole zdobyczy, mimo wzrostu nieruchliwości. Lecz to społeczne otoczenie, najprostsze ze wszystkich znanych, nie sprowadza jeszcze znacznych zmian w naturze składających je jednostek; przedewszystkiem nie spotykamy tu podziału pracy, w którym każdy osobnik lub oddzielne grupy spełniają szczególne czynności, robiące ich obecność sprawą niezbędną dla innych. Wyższy stopień uspołecznienia polega właśnie na wzroście podziału pracy wśród równoznacznych pierwotnie jednostek; to doprowadza u niższych zwierząt do wielokształtności osobniczej.

Takiem zbiorowiskiem jest i sam organizm ludzki; komórki jego, zamiast życia samoistnego, utworzyły jedno stowarzyszenie, w którem każdej oddzielnej części przypadła szczególna czynność. Odwrotnie i społeczeństwa ludzkie są organizmami, których najniższą niedziałkę stanowi obywatel. Są to prawdziwe jestestwa żyjące. Człowiek wprawdzie nie uzmysławia je sobie w ten sposób. Nic to jednak nie dowodzi, bo i żołnierz na polu bitwy zgoła nie uprzytomnia sobie tej figury, którą otrzymujemy na planie fotograficznym, kreśląc ułożenie środka i skrzydeł armii. Dotychczasowi historycy nie lepiej rozumowali od żołnierza; zatrzymywali się zawsze nad jednostką, i można rzec, że z po za drzew nie dojrzeli lasu. W nauce socyologicznej jedynie organizm społeczny posiada znaczenie — atomy jego, pojedyncze osoby, zupełnie nikną z przed oczu. Prawdę tę odkryła dopiero nowoczesna socyologia. Jej zdaniem, społeczeństwo jest organizmem i przechodzi te same koleje, co każde stworzenie żyjące. Rośnie ono, mężnieje i starzeje; wydaje potomstwo za pośrednictwem kolonizacyi; posiada własne choroby, zwane kwestyami społecznemi. Co więcej, jak jednostka jest w stanie zapewnienia sobie długiego i zdrowego życia przez szanowanie pewnych zasad, podobnież może czynić i społeczeństwo. Wszelki organizm społeczny opiera się na towarzyskości — bodźcu psychologicznym, zupełnie odpowiadającym w skutkach powinowactwu chemicznemu. W braku zaspokojenia tego popędu uspołeczniona jednostka choruje lub tępieje. Dzięki tej to właściwości swej natury różne stworzenia wyłoniły pożycie gromadzkie; człowiek pod tym względem nie różni się od mrówki. Znaczenie uczuć towarzyskich uwidoczni się zwłaszcza, jeśli będziemy rozpatrywali warunki oswojenia zwierząt; okaże się, że najbliżsi krewniacy zwierząt domowych żyją gromadnie, z wyjątkiem pono najdzikszego i najgłupszego — kota. W zastosowaniu do ludzkości oswojeniu odpowiada cywilizacya. Zwierzęta domowe są płodniejsze, dłużej żyją; zmysły lubo w oddzielności tracą dawną ostrość, w sumie stają się czulsze; cywilizacya wywiera na człowieka podobne skutki — żyje on dłużej; wydaje liczniejsze potomstwo, rozszerza jakościowo sferę wrażliwości zmysłowej, lubo tępieje w sile pojedynczych zmysłów; dzięki rozciągłości wrażeń, zwiększa zdolności umysłowe.

Cywilizacya w swym rozwoju przebiega różne fazy, lecz w ściśle wiadomym porządku. Postać organizmu społecznego zmienia się krok za krokiem. Dzieje poczynają się ogniwem zwierzęcem — okresem trawienia. Szukanie pokarmu pochłania wszystkie siły człowieka, objętość mózgu wynosi zaledwie 1,100 centymetr. sześciennych (buszmeni, foegestczycy). Powoli ludzkość wkracza w okres uczuciowo-zmysłowy, w czasy ukazania się świecidełek i ozdób, oraz powstania religij; mózg posiada 1,250—1,350 cntm. sześć. (kafrzy). Wreszcie rozpoczynamy epokę psychiczną — naprzód inteligentną, w której myśl ludzka buja na skrzydłach poezyi; później naukową. Równolegle z tym rozwojem podąża drugi po przez koczownictwo do rolnictwa i w ciągu dalszym przemysłu, po przez monarchią despotyzm arystokratyczny i feodalizm do konstytucyonylizmu, po przez wojny do pokoju. Każdy okres posiada właściwą sobie patologię, naturalną i sztuczną, fizyczną i umysłową. Niemoce człowieka cywilizowanego stanowczo różnią się od chrób dzikości. Wśród najniższej fazy przemagają choroby teluryczne, ustające w miarę zwiększania się ludności i zniknięcia błot pod polami. Następnie zmniejszają się i inne, tkwiące w spożywaniu niezdrowego pokarmu — maleją one równolegle do rozrostu dróg komunikacyjnych. Natomiast z wzrostem gęstości zaludnienia srożenie epidemij odbywa się z większą siłą. W fazie uczuciowo-zmysłowej pobudzają się sztuczne choroby fizyczne — nadawanie nienaturalnych kształtów członkom ciała i przyczepianie kawałków martwej materyi, oraz umysłowe — wierzenia w potęgi nadprzyrodzone. Tamte ostały się lubo w zmniejszonych rozmiarach, do naszych czasów, zwłaszcza wśród dzikszej części naszego społeczeństwa — kobiet, które nie przestają szpecić ciała na wzór botokundów lub taitczyków. Natomiast przesądy, wiara w istoty i wpływy nadziemskie trwają jeszcze z całą siłą. Skreślony chód cywilizacyi odbywał się w zależności od rozwoju narzędzi pracy; ulepszenie sposobów zdobywania pokarmu dostarcza pożywniejszego posiłku, to zaś wpływa na powiększenie ciężaru i objętości mozgu — najważniejszego warunku dla wykwitnięcia faz umysłowej i naukowej. Już z tego, iż postęp zależnym jest od względów biologicznych — odpowiedniego ukształtowania mózgu, już z tego okazuje się, że musi on kroczyć zwolna, zgodnie ze zmianami w organizmie jednostki. Ażeby społeczeństwo uczyniło krok naprzód, potrzeba jest odpowiedniego stopnia dojrzałości mózgu, czyli, jak się mówi potocznie, opinii publicznej — niepodobna prędzej postępować, aniżeli ona to czyni. W rozwoju społecznym ogromną doniosłość posiada odruchowość umysłowa — naśladownictwo i uległość poddawania. Zarówno dobro jak i zło rozszerza się w społeczeństwie przez swego rodzaju poddanie, sprawione, wbrew woli, widokiem dobrych lub złych postępków. Kroczenie cywilizacyi zależy od łatwości, z którą uskutecznia się poddawanie; winno ono być dość łatwem dla umożliwienia wychowaniu i zwyczajom stworzenia pożądanych stanów psychicznych, lecz znów nie zbytecznie, bo inaczej doprowadzi do automatyzmu bez uczestniczenia świadomości.

Nie potrzebujemy dodawać, że wpływy otoczenia są odmienne dla każdego okresu cywilizacyjnego, ale w każdym działają z taką prawidłowością, że poniekąd mate-

*) Bordier: *La vie des sociétés*, 1887.

matyczną ścisłością można przepowiedzieć najbliższe losy narodu. Nawet najzależniejsze na pozór od woli ludzkiej zjawiska podlegają stałym prawom; za dowód może posłużyć niezmienność dat statystycznych. Liczba zabójstw, otruć, nadużyć, nawet niedoręczonych listów pozostaje z roku na rok tą samą, i trzeba większych przeciągów czasu dla zauważenia znaczniejszych odchyleń. Ekonomiści to już powiedzieli oddawna; oni pierwsi wygłosili, że po za zjawiskami, rzekomo dowolnemi i zmiennemi, ukrywają się stałe działające prawa. Ale dopiero demografowie (statystycy) wykazali całą naukowość tego twierdzenia. Jedynie statystyka pozwala poznać oddziaływanie otoczenia otoczenia społecznego na człowieka. W tym celu winniśmy rozpatrzeć wszystkie strony pożycia gromadzkiego; wypada zbadać, jak równolegle do gęstości zaludnienia zmieniają się daty statystyczne: jak na jednostkę oddziaływają miasto lub wieś, zawody umysłowe i fizyczne, podział bogactw, różne formy związków rodzinnych. Takie rubryki statystyczne ukażą nam w całej jaskrawości wpływ otoczenia społecznego i umożliwią oparcie hygieny społecznej na zdrowych podstawach. Albowiem jak pojedyncza osoba, podobnież i organizm społeczny może usuwać swe niedomagania („kwestye społeczne“) przez odpowiednie postępowanie. Lecz jakie? Z tem pytaniem wkraczamy w sferę pożyteczności kodeksów i dekretów.

Społeczeństwa, jako organizmy, podlegają rozwojowi fizyologicznemu. Pozostawione samym sobie, postępują na wzór innych jestestw przyrody. Dla nich jak i dla zwierząt i roślin, istnieje nauka hodowli—zdrowotnej lub wykoszlawiającej. Ogrodnik jest w stanie nadania drzewu najnienaturalniejszej formy — wazy, piramidy itd., lecz roślina corocznie czynić będzie próby wymknięcia się z pod tych kształtów, nieodpowiadających prawom fizyologii roślinnej. Praca hodowcy przedstawia w tym razie bezustanną walkę z siłami przyrody. I na polu społecznem jest mnóstwo takichże ogrodników, sądzących, że można dowolnie igrać ze społeczeństwem i dawać mu wymarzone formy. Są to empirycy prawodawstwa, zapominający, iż po za receptami, zapisanemi w podręcznikach i kodeksach, istnieją jeszcze prawa fizyologiczne społeczeństwa, co kieruje jego losami i usiłuje zerwać nałożone i niezgodne z naturą normy. Takich znachorów i bandażystów znajdujemy bez liku w każdym kraju: mniemając iż społeczeństwo można wywracać na wszystkie strony, przez zamiłowanie ku symetryi chcieliby oni zaprowadzić w organizmie społecznym prawidłowość geometryczną. W rezultacie targają jedynie własne siły lub koszlawią rozwój społeczny. Prawodawstwo jest dobroczynne w jednym tylko wypadku, mianowicie gdy pcha społeczeństwo w kierunku, w którym ono samo podąża. Prawodawca winien popierać jedynaturalną ewolucyę i wpływać na rozbudzenie samodzielności części składowych ciała społecznego, więc krępować jaknajmniej swobodę ruchów, krzewić zaś natomiast decentralizacyę. Podstawą jednak wszystkich usiłowań prawodawczych musi pozostać wychowanie młodych pokoleń — bez tego wszystkie reformy nie odniosą pożądanego skutku. Zdrowe fizycznie i umysłowo wychowanie — oto pierwsze zadanie hygieny społecznej.

W następnym artykule rozpatrzymy poglądy pedagogiczne Bordiera.

K. R. Żywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Wołody Skiba: *Nad poziomy*, powieść. Warszawa, 1888.

Nic smutniejszego nad człowieka, który sam niegdyś się wzbijał „nad poziomy“ z piersią wezbraną pragnieniem szlachetnem, a postarzawszy, gdy się zwraca do swej przeszłości młodzieńczej, ma dla niej tylko oko lekceważenia. Posiadał chwile bujnych fal życia, a doczekawszy drobnych, sennych, wypełnionych zaledwie dźwiękiem kieliszka i zapachem strawy smakowitej, gdy wspomina lub opowiada, ma dla tamtych uśmiech politowania lub humoru, nazwę „szału,“ budzącego dreszcz niemiły, lecz teraźniejszość została dla niego dzieckiem ciehem, karnem, rozsądnem — „praktycznem.“ Mądrość starca, którego wcześnie siły odbiegły! Źle, jeśli to filisterstwo, usypiające pamięć zdwojonej niegdyś sumy życia, widmem jeszcze wstrząsającego prawidłowe ustroje psychiczne. Taki człowiek, jeśli poczuwszy w sobie talent, zechce w obraz artystyczny ująć owo widmo, nie pochwyci go w całej pełni i czystości, bo nie dopuści do siebie tak blisko, aby mu oddechem swym mogło choć na mgnienie popędzić żywiej krew do serca...

Nie chciałbym wszystkiego stosować do p. Wołodego Skiby, jednak poniekąd muszę: powieść jego ostatnia nasunęła mi te uwagi. Naoczny świadek wielkiego dramatu i sam niegdyś aktor i ofiara, sądził, że wesołym tonem opowiadania i doborem anegdot szkolno - obozowych da czytelnikowi wyobrażenie tła i grozy chwili. Chybił, czego mu darować nie mogę. Chociaż przyznać trzeba, że usiłował wciągnąć w opowieść wiele znanych dziejopisowi czynników owego smutnego wieloczynu: idealizm i antagonizm szkolny młodzieży, kobiety. Te ostatnie jednak grają podrzędną rolę. Główna bohaterka, to sobie zwykła córka obywatelska, szczebiocąca słówka francuskie i zawracająca głowy gimnazistom. Trafiały się i takie, były przecież i inne, którym serduszka wzbierały nie samą tęsknotą za „kawalerem.“ Te stanowiły potężną dźwignię w wypadkach owego wybuchu sił napiętych, ale one nie znalazły miejsca w powieści p. Skiby.

Ci trzej studenci, tatuujący na swej skórze prochem hasło mickiewiczowskie „nad poziomy,“ mogli istnieć, nie są jednak dobrymi przedstawicielami „pokolenia straconego.“ Więcej im w głowie figle żakowskie, niż wyważanie bryły świata z posad. Autorowi zapewne znane są anegdoty o czwartoklasistach, przedsiębiorących podróż za morze z Warszawy na odległość Sękocina lub Piaseczna pod wpływem opowiadań Mayne-Reada lub Verne'a? Tego samego rodzaju są jego trzej „nadpoziomowcy.“ Poszli „do lasu,“ ogarnięci tchnieniem doby, lecz, jeszcze przedtem, z przygotowaną wyobraźnią czytaniem przygód rycerskich. Powtarzam, że mogli być i tacy. Ryczałtem jednak sądzi p. Skiba o istnieniu ruchu, przyznając wyrostkom w nim rolę twórczą. Tu pająki, które sieć usnuły, więcej znaczyły... Ci byliby ciekawi. Upostaciowani są w powieści w osobie akademika, ale szkicowo.

Surowość zarzutów muszę atoli złagodzić. Autor miał niezwykle wdzięczny wątek, ale zniewolony był dać tkaninę rzadką, bojaźliwie przetykaną. Postępować musiał wzorem grajka, co w taktach skocznych przemyca „nutę zdrożną.“ Szkoda tylko, że przy tych łamańcach nie zapomniał napoić opowiadania piżmem utartego morału od „niepraktyczności“ hasła. Zasada „pracy organicznej“ czyli napychania kieszeni, jako rzecz poziejsza, tym ludziom uniesionym była obca. Społeczeństwo wtedy jeszcze nie zdążyło powyznaczać im skorupek ślimaczych. Strona artystyczna także pozostawia sporo do życzenia. Jest zbyt luźna: gawęda swojska, stale uprawiana przez naszych powieściopisarzów, koloryt blady, styl zaś tak wielosłowny, że gdyby przez pretak go puścić, dużoby zostało niepotrzebnej plewy gadulczej.

Z tem wszystkiem książkę p. Skiby można z zajęciem czytać. Dziwiłbym się, gdyby kto pytał, czemu?.. Jeśli jednak komu przyjdzie ochota głębszy obraz nakreślić, niech to zrobi nie na bruku warszawskim. Chyba, że upodobał sobie styl arf colskich...

Zyg. Piet.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Zarazki demokratyczne. — Lęg miejscowy i pożyczony. — Waga społecznych żywiołów poznańskich. — Katechizm narodowy. — *Orędownik*— Łączność i jedność. — Rozbiór frazesu. — Mąż powszechnie szanowany i warchoł. — Jedyny sposób dogodzenia mu. — Kto powinien dać przykład. — *Szulamis.* — Nauka z faktu.— Naród któremu nic się nie udaje. — Testament Muzeum pszczelniczego.

Z przyprawą ironii i życzliwego napomnienia, z dobrą i złą wolą bywa często przypominana uwaga, że „niczego nie zapomnieliśmy i niczego nie nauczyliśmy się.“ O pierwszą połowę tego frazesu mniejsza: zapominać niczego nie należy, nawet głupstw i omyłek, bo z rozpoznanych wytryskuje mocne światło, które rozjaśnia drogę życia. Wszystko więc pamiętać trzeba, a jeżeli jakaś etyka przeciwnie radzi, to dlatego, że jej chodzi nie o to, ażeby ludzie byli mądrzy, ale o to, ażeby się nie darli. Co innego wszakże — uczyć się. Ile razy robią nam ten zarzut słusznie, boli on bardziej, niż setki innych. A niestety w wielu sprawach nie chcemy nauczyć się tych prawd, które weszły już do elementarza narodów oświeconych.

W katechizmie starym pomieściliśmy następujące artykuły wiary:

1. Nie będziesz miał innych bogów przed karmazynami i księżmi.

2. Szczęście człowieka zależy na tem, ażeby pana swego znał i jemu wiernie służył.

Mówiono tam nieco o względności dla „sławetnych,“ o tolerancyi dla „niewiernych,“ o miłosierdziu dla „chamów,“ ale błogosławieństwo przyznawano tylko „urodzonym.“ Czas swą bezbożną ręką pokreślił przykazania tego katechizmu; ażeby wiąc uratować tradycyjny zakon, na marginesie jego dopisaliśmy szereg odpowiednich postępowi zastrzeżeń. Coś z nich dostało się i sławetnym, i niewiernym, i chamom, w gruncie jednak pozostaliśmy... starozakonnymi, tj. posiadamy swój księżo-szlachecki Talmud, który nas kształci w wielu niewątpliwych cnotach, ale i w wykrętach. Mądrość tej świętej księgi znajdziesz nietylko na ustach rzetelnego karmazyna: słodzi ona wargi zbogaconych chłopów i mieszczan, a nawet najprawowitszych żydów. Bez niej nie ma zbawienia. Kto jej przeczy, jest: bluźniercą, warchołem, demagogiem, burzycielem a — jeśli te plastry gryzące nie skutkują — zdrajcą kraju. Wtedy dopiero wylegitymujesz się ze szlachectwa obywatelskiego, z synowstwa ojczyzny, kiedy ucałujesz w rękę księdza, ukłonisz się panu, spojrzysz przez ramię na mieszczanina i zrzucisz krymkę żydowi.

W przeszłości miewaliśmy niejednokrotnie krótkotrwałe napady chłopomaństwa: ale po opuszczeniu krwi lub obłożeniu głowy lodem — uśmierzalis-

my gorączkę i wracali do stanu „normalnego“ — stanu „sodalisów.“ Gorączka ta — częścią dzięki przyczynom miejscowym, częścią dzięki powszechnemu zakażeniu Europy — ogarnęła nas i w ostatnich latach. Od czasu do czasu tu i owdzie rodził się to blady i chorowity, to krzepki i czerwony, poważny lub waryacki demokratyzm, pragnący powołać do życia i udziału w sprawach spółczesnych żywioły upośledzone, ciemne, nieokrzesane, półdzikie, ale zdolne wzmocnić nowymi pierwiastkami kastę wyczerpaną lub zwyrodniałą a nadewszystko — pomnożyć niedostateczne dla ciężkich zadań siły narodu. Zarodek — albo jak chce większość naszej prasy — zarazek padł również na glebę poznańską. Nic dziwnego — ze wszystkich dzielnic polskich tam on głównie przyjąć się i rozwinąć powinien. Lud tamtejszy pod przymusem szkolnym ukształcił się, w życiu politycznem dojrzał, jako czynnik społeczny przeto na widownię wyprowadzonym być może, zwłaszcza dziś, kiedy szlachta bądź traci najważniejszą oporę materyalną — ziemię, bądź ją niemcom dobrowolnie sprzedaje. Ściśle mówiąc, jeżeli w Poznańskiem mamy jakiejkolwiek klasie przyznać plan pierwszy, to tylko ludowi. Mieszczaństwo w znacznej części zniemczało, ziemianie myślą o „ratowaniu resztek“ — więc która tam warstwa ratuje naród? Kilku, kilkudziesięciu — bądźmy szczodrzy w przypuszczeniu — kilkuset rozumnych i uczciwych obywateli ziemskich? Tego dobrego za mało. Nigdzie drobna gromadka najszlachetniejszych wyjątków nie służy za podstawę dla ogólnych reguł polityczno-społecznych. Na to trzeba masy — a masa spodnia polskości w Prusach jest przynajmniej w swoim charakterze narodowym najwytrwalszą. Było też objawem zupełnie naturalnym, że tam w prasie zakiełkowało ziarno demokratyzmu. Nie będę tu badał, czy je dr Szymański pielęgnuje w *Orędowniku* umiejętnie, to tylko zauważę, że wywieszona przezeń chorągiew zasługuje na coś lepszego, niż wymysły lub mdłe utyskiwania. Rozpatrzylibyśmy ją poważnie, odłączyli szych od złota, ocenili racye, gdybyśmy... nauczyli się myśleć nie po szlachecku. Niestety, dopóki natura nie wytworzy w naszym mózgu nowych dla tej potrzeby komórek — jest to niemożliwe. Jakiś dziwny, ślepy i obdarty hidalgizm pozostanie naszym ideałem, pusty zaś, bezmyślny frazes — regułą. „Rząd pruski — powiada korespondent poznański do jednej z gazet warszawskich — bije na nas potrójną siłą; potrzeba nam jedności i łączności pomiędzy wszystkiemi warstwami społeczeństwa.“ Mój czytelniku, zastanów się ze mną nad tym nieszczęsnym frazesem, który codzień koło uszu ci brzęczy. W czem ma się przejawiać owa „jedność i łączność?“ Ty, mąż poważny i powszechnie szanowany, utrzymujesz, że Leon XIII „wie, co robi, a my z pokorą winniśmy korzyć się przed jego ojcowską wolą,“ że księża Jażdżewski i Stablewski oraz Mielżyńscy, Chłapowscy itd. także wiedzą, co robią a lud powinien korzyć się przed ich ojcowską opieką, że demokratyzmy i liberalizmy „nie dla nas;“ ja zaś, warchoł, utrzymuję, że papież jest obojętnym na los nasz samolubem, że arystokraci dbają również o swoje interesy a ogólnych sami obronić nie zdołają, bo tu nie chodzi o politykowanie i dyplomatyzowanie, które ks. Bismark szczutkiem każdej chwili rozbije, ale o uświadomienie niebezpieczeństwa i związanych z niem zadań w masach. Jakże zrobić, ażeby między nami zapanowała „łączność i jedność?“ Istnieje jeden sposób pewny: albo ja, warchoł, zrzeknę się moich przekonań, albo ty, mąż powszechnie szanowany, swoich. Ponieważ ja nie chcę, bo widzę w nich dobro, i ty nie chcesz — więc? Kiedy w *Donżuanie* rozbitki, płynący po morzu na łódce, cierpieli głód, nie rzucali się silniejsi na słabszych, lecz przynajmniej losowali, który z nich ma być zjedzonym. Tu zaś księżoszlachecki starzec pragnie zjeść demokratycznego młodziana, który mu się nie da. A zatem? Ofiara niemożliwa — trzeba tedy istnieć obok siebie a matematyczną „łączność i jedność“ wybić sobie z głowy. Dopóki przeciwnicy poważnieni w domu mają wspólny cel po za domem, dopóty trwa między nimi najzupełniejsza zgoda, chociażby jeden wóz ciągnęli w dwie przeciwne strony. Bo ostatecznie mocniejszy zwycięży i dojdzie do mety dla obu pożądanej. A jeżeli ktoś uznaje konieczność bezwzględnej „łączności i jedności,“ niech da z siebie przykład i utonie w drugim. Pragniesz powszechnie szanowany mężu przeciąć walkę, złóż broń, ale nie wymagaj, ażebym ja ją złożył.

Gdybyśmy uczyć się mogli... W teatrzyku Alhambra wystawiono sztukę p. t. *Szulamis*, wysnutą z opowieści Talmudu. Zbiegł się na to hasło tłum żydów, który wysłuchał przedstawienia z nabożną uwagą i oklaskał je z namiętnym zapałem. Ujrzeli oni wreszcie swój świat niepodrobiony i niesponiewierany. Czyż my, którzy każdą właściwość narodową przechowujemy jak świętą relikwię, mamy się dziwić tym ludziom, iż oni z zaognionem okiem oglądają mary swej przeszłości, że również na rozkaz lub nawet z musu i potrzeby nie wyłuskują się ze swej wiekowej skóry, nie rzucają w błoto i nie depcą tego, co szanować przywykli, że pragnień, ideałów, upodobań z mlekiem matki wyssanych lub nabytych nie wymiatają na śmietnik cywilizacyi? Co do mnie — nie dziwię się, bo wszędzie widzę, że patryotyzm jest kochaniem ogólnego nieszczęścia. Ale czy z drugiej strony ta *Szulamis* nie wskazuje nam, że zapomocą samych Geldhabów, kantorowiczów i przewrotnych Mośków nie poprawimy i nie przyswoimy tych, z którymi los żyć nam kazał? Wymowniej, niż wszystkie rozumowania fakt nam dowiódł, że scenę teatralną można zużytkować dla wpływu na żydów i że tego ważnego środka zaniedbywać nie należy. Satyra niech nie wypuszcza z rąk swego bicza, ale nie kształćmy króla ludzi samą chłostą. Nosem pokręci lub uśmiechnie się wzgardliwie wybredniś, gdy na afiszu przeczyta dramat żydowski, spodziewając się obrazów, które go nie wzruszają, i towarzystwa, którego unika; ale w sprawach społecznych nos nie jest sędzią. Gdyby nim był, wielu obrońców ludu roboczego cofnęłoby się od swej roli. Uważalibyśmy to za objaw wielce pocieszający, gdyby zdolne pióra wyprowadziły na scenę szereg polskich utworów z życia żydowskiego, któreby przyciągały do teatru uciekającą od niego i nieprzyjazną społeczeństwu masę izraelską.

Tylko nie powiedzmy, że to się nie uda, chociaż żyjemy w kraju, w którym wszystko nowe nie udaje się. Szczególny to kraj, a raczej naród! Jeżeli prapradziad osadzał barcie w sosnach, po setkach lat można zbudzić zamiłowanie do barci; ale jeżeli ojciec używał paska, odrazę wywołują szelki. Poddani króla abisyńskiego zrobili niedawno rewolucyę, gdy im zalecono nosić spodnie. Rewolucyi nie robimy z takich powodów, ale nie mniejszy objawiamy konserwatyzm. Na chwilę, przez rok, dwa, gorejemy jakąś nową ideą, ale wreszcie słomiany ogień gaśnie, zdmuchnięty frazesem: dobre to, ale nie u nas. Nie mamy tu zaś na myśli żadnych przewrotnych radykalizmów, ale najzwyklejsze gdzieindziej postacie pracy i urządzenia. Przed kilku laty przekonywał mnie pewien kapitalista, że tramwaje są dobre, ale nie u nas. Krzyknięto kiedyś: chmiel! Ten i ów rozpoczął uprawę i doszedł do wniosku, że: to dobre, ale nie u nas. Jedwabnictwo! Zawiązało się towarzystwo, apostołowano naukę po kraju, wyrosły łany morwy, wszakże po to tylko, ażeby stwierdzić, że... dobre to, ale nie u nas. Pszczelnictwo! Powstało Muzeum, szkoła, ule nowych systemów, pismo temu przedmiotowi poświęcone — i dziś widzimy, że to... także dobre, ale nie u nas. Muzeum bowiem zapowiada swoją śmierć, ognisko dopala się i kopci gryzącym dymem. Potem wyskoczą i znikną rośliny apteczne, zabawki dziecinne, sukmany chłopskie (wyrabiane w Niemczech), a wszystko to... będzie dobre, ale nie u nas.

Doprawdy, prócz szkaplerzów, piwa, wódki, już nie wiem, co jest dobrem i u nas. Bo nawet przebąkują, że cukier ma być odstąpiony zagranicy... Szczególny kraj, nieszczególny naród!

Poseł Prawdy.

POD MIKROSKOPEM.

I.

„Wdzięczność jest cnotą potomnych.“ Okazujemy ją przy każdej sposobności tym, którzy, jak w sarkofagu Voltaire'a, leżąc w trumnach z uchylonem wiekiem trzymają dla nas pochodnię. Upłynęło 25 lat od śmierci L. Kondratowicza (Syrokomli). Idą też serca nasze żałobą okryte na grób Rosy pod Wilnem i kładą na mogiłę „lirnika wioskowego“ wieńce uczuć smutnych. A gdyby serca prostaczków nie były mumiami w zwojach ciemnoty i znały swego przyjaciela, niezawodnie pospieszyłyby uczcić jego pamięć najliczniej. Natomiast, gdyby kareta wielkopańska, zawadziwszy kołami o jego kamień nadgrobny, wyrzuciła nań polskiego magnata, z pewnością zraniłby się boleśnie.

Syrokomla kochał lud szczerze, a gdy wahano się w Wilnie nad wyprzęgnięciem chłopów z jarzma, krzyknął (1859):

> O wstyd mi Wilna, nie chcę być litwinem
> I hańba mojej herbowej pieczęci!

Miłość ta wszakże oprawiona była u niego w ramy katolicko-szlacheckie, których stale do swych obrazków używał. Być może, iż gdyby swego ukształcenia na 5 klasach nie skończył, albo gdyby je uzupełnił świeższemi źródłami i żył w czystej atmosferze, kto wie, czy nie wydobyłby ze swej liry tonów śmiałych, prawdziwie demokratycznych. Ptak dolin, wąwozów i zaścianków, a poczęści ptak klatki nie wzlatywał nigdy nad szczyty, więc nie miał spojrzeń orła. Śpiewał jak skowronek nad chłopem, orzącym swą jałową rolę, lub jak szczygieł w oknie wiejskiego dworku. Z jednego kąta litewskiego przesiedlał się w drugi, a nigdzie widnokręgu swej myśli rozszerzyć nie zdołał. Załucze tyle dało jego muzie, co Borejkowszczyzna lub nawet Wilno. Zdawało mu się, że „dyalektykiem“ z natury nie był, nad głębią dociekań filozoficznych doznawał zawrotu głowy; ale gdzież on miał sposobność nauczyć się — jak Pielgrzym Mickiewicza — „spoglądać przez świata szczeliny.“ Na spadzistych więc krawędziach powtarzał sobie tylko, jak Mirza: „Zmów pacierz... Tam nie patrz! Tam spadła źrenica... o dno nie uderza.“ Ale ile pieśni z duszy wiedzą nienasyconej, samorodnej a głęboko czującej na dolę ludu spłynąć mogło, tyle z duszy jego trysnęło. Spasowicz słusznie „trybunowi zahukanych a biednych chudo-pachołków“ przeciwstawia Pola „obrońcę władzy i panów.“ W pierwszym choć słabo tętniła przyszłość, obrazy drugiego są martwemi stalaktytami przeszłości. Tamtem powinien był żyć dotąd, ten umrzeć musiał, bo już by z teraźniejszością dziś rozmówić się nie umiał.

Dzięki Syrokomli za to, co nam dał, ale sądzimy, że nie dorósł do miary sił przyrodzonych, że za krótką i wązką była droga, którą przebył. Życie przygniotło go ku ziemi. I nie samą biedą — nie on jeden sprzedawał swoje płody „na pniu,“ nie on jeden spoczywając na wawrzynach widział w nich bobkowe liście i marzył o obiedzie; dusiły go ciasne warunki. Inaczej czyżby głuszył

rozdźwięk swe piersi hulanką, topił zgryzotę w kieliszk i owierał usta dla chwytania powietrza, tórego piersiom brakło? Jego liryka jest kwileniem wdzięcznem lub świstem przeni dliwem, ale jego pieśni szerzej roztoczone zdradzają chrypkę głosu nieukształconego, są łopotem za krótkich skrzydeł. Beranger polski, ani Walter-Scott nie mógł wychować się w zaścianku litewskim, śród ciemnoty, przesądów, duszności umysłowej, jałowych stosunków i utarczek z żydami. Tam był grunt dla *gawędy* — i ta się udała.

Talent też Syrokomli zanim się rozwinął, usechł i sparciał. A mimo to spadły zeń do literatury śliczne kwiatki, których ona dotąd uzbierała niewiele — smutne i rzewne pieśni z nizin życia, pieśni niedoli. 25 lat dzieli nas od jego zgonu, odszlachetczyliśmy się w pojęciach nieco, a gdzie poeci, którzyby śpiewali uczucia swej epoki? Ten i ów nastroi do nich dla odmiany swą lutnię, ale chętnie wraca do innych motywów. Jeden więcej powód, ażeby mogiłę Syrokomli ozdobić nieśmiertelnikami.

II.

Akurat w miesiącu, na który według Falba przypadają najgwałtowniejsze wstrząśnienia kuli ziemskiej, *Ateneum*, ten zegar nowy *à l'antique*, którego ciche wahadło chodzi spokojnie i równomiernie, a młotek wydzwania godziny głosem przeciągłym i stłumionym, nagle objawiło niezwykły ruch i wybiło godzin 13. A ta trzynasta miała dźwięk całkiem inny, mocniejszy a zgrzytliwy, niby terkotanie budzika. Kogóż *Ateneum* chce oprzytomnić? Naturalnie najwinniejszą z grzesznic — prasę.

Jakiś mąż, którego imię §§, nabija w swą wiatrową armatkę konserwatystów z postępowcami i wystrzeliwa w powietrze. Zniecierpliwiła go kłótnia głodnych i głupich. Rozgarnąwszy uległe i nadgniłe hasła, wydobywa z pod nich jeden zdrowy owoc „drzewa żywota“ — ideę pracy organicznej — i radzi posilny jej sok wypijać. W niej bowiem tkwią dwa pierwiastki niezbędne: chleb i oświata, których dostatnio nie posiadamy. „Czyż dla tych, co rozumieją znaczenie pracy organicznej, co się chcą ruszać, a mają po temu środki i odpowiednie uzdolnienia, mało pola do ruszania się, do wyścigów, ażeby powoli cały naród nie poszedł na dziady?“ Obok biedy materyalnej usiadła duchowa. Nauka prawie zanikła. „Samo znów dziennikarstwo robi bokami: po szumnych zapowiedziach postępowych, ćwierć i cało-konserwatywnych, cała ta wegetacya papierowa zaczyna schnąć suchotami kieszeni, a często i głowy.“ Pytanie: czemu ta gruźlica rozpoczęła się od mózgu naszej prasy, od *Ateneum*, które z obowiązku „robienia bokami“ uwalniają tylko niecierpiące suchot kieszenie dobrodziejów — autor nie dotyka i słusznie, bo wypadłoby mu może, że sadzonki, które nie są ani postępowe, ani ćwierć- i cało-konserwatywne bez sztucznego podlewania uschłyby najprędzej. Według niego wyglądamy „jak nagi w pokrzywach: jakkolwiek się obróci, zawsze się sparzy.“ Przypuśćmy — ale za cóż bić nagiego? Nie powinien był leźć w pokrzywy. Czy sam wszedł? Powinien je wyrwać. Czy może? Powinien się ubrać. Czy ma w co? Może on jedynie poczepiać liście tych pokrzyw i okryć niemi swe ciało. To robi.

Ale — zdaniem §§ — źle robi, bo szuka najkorzystniejszego dla siebie połączenia ich. Tu właśnie błąd. Każdy z nas jest krawcem: jeden tak kraje osnowę życia, drugi inaczej, jeden uważa takie szwy za mocniejsze, drugi — inne. Według §§, należy wszelki system porzucić: po prostu krajać, jak nożyce pójdą i szyć, jak igła wlezie. „Nie zrażać się niczem i wytrwale pracować na każdem stanowisku“ — oto reguła. Jak pracować, to pytanie zbyteczne, a nawet szkodliwe, bo zaraz z niego wypełzną dwa węże: postęp i konserwatyzm.

Podobną do tej socyologii medycynę spotkać można co rano w Saskim ogrodzie przy studni. Do kapłanów tej bogini zbliża się robotnik pozbawiony zajęcia i prosi o radę:

— Co mam począć?

— Pić zimną wodę i chodzić.

Kobieta, szukająca drogi samodzielnego wywalczenia sobie bytu:

— Co mnie uratuje?

— Woda i ruch.

Młodzieniec, wątpliwościami wiedzy dręczony:

— Gdzie prawda?

— W studni i przechadzce.

Nie wyznawać ani liberalizmu, ani konserwatyzmu, tylko „wytrwale pracować na każdem stanowisku“ — pić wodę i chodzić — ale ta medycyna do swoich recept nie dodaje emerytury, a owa socyologia — „stanowisk.“ Szkoda.

„Chleb i oświata — oto hasło!“ — powiada *Ateneum*. Czyj chleb? Nie redakcyjny, ale ogólny. Toć trzeba ludziom radzić, jak go zdobywać mają. Czyja oświata? Całego społeczeństwa. Trzeba również mu wskazywać, skąd ją czerpać winno. Czyli trzeba być: albo konserwatystą, albo postępowcem. No, prawda, można być jeszcze emerytem przy studni, ale to nie każdemu dano.

Gezyasz.

NA WIDNOKRĘGU.

Silne ramię szlachcica i rozum panieński. — Zbudzone sumienie. — Śmierć magnata litewskiego. — Jego filantropia. — Gwóźdź p. Wallszewskiego. — Pytanie zadane p. Ubyszowi. — Mój przeskok do Radomia. — Zgłodniali.

O ósmy cudzie świata! Papugi chowu ziemiańskiego chcą być mrówkami, „wesolutkie, jak młode koteczki,“ laszki, ważą się podejmować robót pachciarskich. Pewna czarowna Mania (rzadko która nią nie jest) z Radomskiego, „córka obywatelska,“ śmiała ojcu swemu powiedzieć, że woli gomółki robić, niż być tylko rozkosznym a kosztownym sprzętem salonów i sypialni. Wypadek tak niezwykły w kołach naszej klasy uprzywilejowanej, iż muszę wejść w najdrobniejsze okoliczności jego. „Bieda nauczyła nie gardzić choćby najmniejszym zarobkiem“ — opowiada ojciec buntowniczki. Odebrał pacht od Lejzora na siebie. Pachciarz, zasiedziały jeszcze z ojca u dziedzica, płacił mu od krowy 25 rs., później po 36, ogółem zaś od 40 krów folwarcznych — 1,440 rs. i zabierał sobie połowę cieląt, z których każde warte było po 5 rs. A miewał ich po 17 — 18, co wynosiło około 90 rs. W istocie więc płacił za pacht tylko 1,350 rs. Lecz sumę tę uiszczał „drobnemi kwitkami“ na mięso i inne artykuły żywota dziedzica, zajmował darmo mieszkanie, dające obecnie 24 rs. czynszu, dostawał morgę obsadzoną kartoflami, wartości 20 rs., pół morgi owsa obsianą, na pieniądze 10 rs. Pani Lejzorowa miała ogrody, za któreby w innym razie płaciła 8 rs., przytem utrzymanie trzech krów dla niej i dla dzieci wynosiło 120 rs., konia — 80 rs., korzec pszenicy na święta 7 rs., fura zbieranin w lesie tygodniowo — 25 rs., trzy garnce okowity za zajęcia około gorzelni — 9 rs. Obliczywszy w ten sposób swe skarby marniejące, znalazł szlachcic, że pachciarz mu płacił właściwie 1,047 rs. Gdy zmiarkował, że zbytek taki rumakowi biedy nie przystoi, poczuł w swej piersi rycerskiej boski duch przedsiębierczości i rozstał się z Lejzorem. Córki jeszcze były na pensyi. Sam dostawiał mleko do Radomia. Za nabiał i cielęta uzyskał tegoż samego roku 2,516 rs., czyli o 1,459 rs. więcej, niżeli od pachciarza. A wszystko dzięki zaniechaniu gospodarki feudalnej i naśladowaniu skrzętności mieszczańskiej.

Na drugi rok najstarsza córka mówi do niego:

— Tyle jest już na świecie tych guwernantek, nauczycielek, że wkrótce lekcye będą wypadać po temu, co się dziadowi daje, po trzy grosze, a pachciarek, gospodyń, kucharek inteligentnych brakuje. Rozum każe się brać za to, co najwięcej przy pracy uczciwej przynosi korzyści. Ojciec dotychczas łożył na nasze utrzymanie, my nadal ciężarem ojcu być nie chcemy, niech ojciec odda nam połowę tego, co go kosztował Lejzor z rodziną, za naszą około pachtu pracę, a my same się utrzymamy, ubierzemy i zabawimy.

— Będziecie robić to samo, co córki Kinda kolonisty? — pytał nieufnie szlachcic.

— Dla czego nie? Ich to nie chańbi, a nam patent gimnazyalny nie przeszkadza. Tylko do jeżdżenia do miasta z towarem upatrzymy sobie zdatniejszą od nas, doświadczeńszą, starszą kobietę, jak młyn wygadaną, Paciusiową.

Zgodził się ojciec, pomimo że sąsiad krytykował. Uniesiony dumą gospodarza praktycznego, ośmiela się polecać *Gazecie radomskiej* z artykułem na przyszłość, który będzie nosił tytuł: „Jak moja Mania wyrabia gomółki.“ Cynik! Cóż wy na to panowie sąsiedzi młodzi, przepadający za wdziękiem w pannach-lalkach i sami wystrojeni, jak lalki? Jestem pewny, że woń sera gnojonego niebawem pobudzi was do namiętniejszego całowania ich rączek...

Żart żartem, ale postępek pana W. D. z pachciarzem przekonywa mię, że są jeszcze pomiędzy szlachtą silne ramiona, które potrafią podeprzeć bardziej złożoną machinę gospodarczą.

Ale cóż z tego! Kierownicy przemysłu rolnego (cukrownictwa) na Ukrainie zasłużyli się dobrze w sprawie rozwoju kapitalizmu miejscowego, a tymczasem bydło robocze, zacinane ręką wyzysku za dobrych czasów, gdy rynek się skurczył, wyprzężono skwapliwie i puszczono samopas skubać — co? Nie pytałbym, gdyby chodziło o czworonożne, ale tu idzie o ludzi — o oficyalistów cukrowniczych, wypchniętych na bruk. Szlochy zgłodniałych musiały być bardzo rozdzierające, skoro członkowie Towarzystwa rolniczego w Kijowie, ziemianie-przemysłowcy poczuli, że mają sumienie. „Pragnąc w miarę sił i możności (biedaki!) przyjść im w pomoc, zwrócili się do innych instytucyj i osób prywatnych o pośredniczenie w wyszukaniu zajęć i posad dla pozbawionych pracy.“ Myślicie, że tkliwość dotyczy wszystkich urlopników? Nie, tylko wybranych, tylko tych, którzy najbardziej byli użyteczni pp. cukrownikom. Będą wydane świadectwa, po zbadaniu „skrupulatnem,“ czy dobrze się prowadzili i byli pracowici, tj. czy kornie dawali upływać potowi swemu... Dopiero zaopatrzeni w nie znajdą poparcie. Ha trudno! W stosunkach gospodarczych panuje zasada: *skaczy wraże, jak pan każe!* Przemysł kapitalistyczny musi pozostać sobą, wielką ujeżdżalnią.

Proletaryat nasz cierpi nietylko skutkiem powikłań sił ekonomicznych, często śmierć fizyczna władcy dominialnego zawiesza na włosku byt setek rodzin. Wystarczy zmiana etnograficzna drogą upadku na pogrążenie ich w nędzę. Dziwny porządek rzeczy! Istnieją dęby i bluszcze owijające się o nie. Niech który runie ze starości, albo piorunem rażony: bluszcze więdną. Właśnie w takiem położeniu znaleźli się oficyaliści na Litwie, pełniący służbę na obszarach 33,000 włók pól i lasów ks. Wittgensteina. Umarł magnat ten 20 sierpnia we Francyi i nie zostawił potomstwa. Nie wiadomo, kto odziedziczy ten olbrzymi spadek. Stąd trwoga i niepewność jutra. Pod rozłożystemi konarami księcia tuliło się więcej niż 150 rodzin w administracyi wyższej i mnóstwo sług podrzędnych (700 ze straży leśnej). Wszystko miejscowy żywioł. Emery-

ci i ich wdowy w liczbie 40, pobierający z kasy książęcej pensyę dożywotną, drżą na myśl zmian nieprzychylnych. Dzierżawcy całemi pokoleniami użytkowali z dóbr, a teraz niespokojnie spoglądają na swoje manatki. Oprócz chlebodawcy wspaniałomyślnego, Litwa straciła w księciu i filantropa. Dużo młodzieży kosztem jego kształciło się i kształci (obecnie 9 pobiera naukę w uniwersytetach, 14 w gimnazyach i kilku w innych wyższych zakładach). Umysły przejęte wdzięcznością dla magnata, z chciwością wchłaniają fakty, znamionujące dobroć jego. Gdy w r. 1882 książę kazał zaliczyć do kasy wsparć oszczędnościowych 20,000 rs. na stypendya, rządca dóbr zapytał:

— Czy stypendya udzielać z kapitału, czy go złożyć na procent i tylko procenty wydawać?

— W żadnej instytucyi kapitał ten nie przyniesie takich procentów, jak kiedy go obrócimy na umysłowe wzbogacenie młodzieży. Udzielajcie więc stypendya z kapitału, a gdy ten się wyczerpie, zasilimy znowu.

Tylko arystokrata rodowy może tak postępować. Pełnemi garściami będzie ci brał ze szkatuły i, nie licząc, rozda. Szczęście proletaryuszów, że nie na rozpustę. Ale nie koniec zasług ks. Wittgensteina. Z jego inicyatywy i zabiegów powstał bank ziemski w Wilnie. W r. 1861 założył w swych dobrach t. z. „skarbiec dla służby" z 25,000 rs. funduszu emerytalnego, pomnażającego się drogą składek 6% z płacy oficyalistów. W 1878 r. skarbiec został przeistoczony na kasę „oszczędnościowo-wsparciową," posiadającą dziś 130,000 rs. kapitału. Korespondent *Kraju* podnosi księciu za zasługę to, iż unikał środków, dążących do pozyskania wyższej intraty, tj. nie podwyższał dzierżawcom tenuty i nie dopuszczał „potocznej konkurencyi." Nie otrzymałby medalu uznania od typowego gospodarza kapitalistycznego. Ja jednak nie mogę się pozbyć sympatyi dla tego człowieka, gdy słyszę, jak jego oficyaliści złamanym głosem powtarzają sobie: „umarł kochanieńki książę nasz." Trzy czwartych ich myśli wypełnia popularny „Wikinsztein."

Okazuje się, że p. Waliszewski zabił tęgiego gwoździa w głowy „ziemian" i kawał rzeczywistości smutnej odsłonił. P. Turski z Sierpskiego przyznaje, że prócz dodatniego ruchu w jego stronach zawiązywania się kółek asekuracyjnych śród rolników, prócz świeżo powstałego kółka wzajemnego ubezpieczenia od gradobicia, które zatacza kręgi i na okolice dalsze, sprawa niszczenia dóbr wystawionych na sprzedaż przez Towarzystwo nie schodzi z porządku dziennego. Ze względu na bezskuteczność nawoływań prasy zło to porównywa szanowny korespondent *Gaz. rolniczej* do czynów „wyrodnych sprzedawczyków poznańskich." „Obowiązkiem jednak naszym — powiada — jest klaść *veto*, piętnować na każdym kroku Judaszów i przeklęte ich srebrniki, aby potomność nas nie posądziła o przyklaskiwanie ich nikczemności — tak, jak to już czynią ich ziomkowie, widzący w sprzedażach tylko dobry interes." Jednakże i w Sierpskiem poziom moralny zaczyna opadać, według słów p. T., bo już i tam „parci fatalnym ekonomicznym upadkiem," zaczynają rozgrzeszać „fałszywych bankrutów," tak dalece, że rośnie obawa, czy inaczej postąpiono by tam od poznańczyków, w razie znalezienia się w ich położeniu.

Z Sierpskiego niedaleko do Płocka. Gdy już w nim noga moja postała, muszę i ja objawić dbałość o mniemanie potomności co do mojej postawy względem p. Ubysza i jego działalności pedagogicznej. Sprawa wychowania publicznego zawsze była dla naszego ogółu sympatyczną. Nie chciałbym do fejletonów wpuszczać przykrych, zgrzytliwych głosów waśni współzawodniczej p. U., ale muszę — dla czci prawdy. Szczególnie mowę zachęty listownej ze strony pewnego płoczczanina. Nie czytałem twojego sprawozdania szkolnego z przeszłego roku, aż dopiero gdy mi ją przysłał ów „płoczczanin," naszpikowawszy uwagami swemi. Zle p. Ubyszu! Podobno chciałeś tam pan być nowożytnym człowiekiem i zrozumiałeś doniosłość reklamy? Reklamować ci się dzisiejsze społeczeństwo pozwala, ale podobno robiłeś to pan „szumnie," zapuszczając gryzące mydło do oczów za szeroko otwartych ciekawością. Skutkiem tego mój korespondent robi ci uwagę, że „lichą musi być sława, którą głosimy tylko słowami." Zle by było p. Ubyszu! Z tegoż samego źródła powiadomiony jestem, jakbyś ganił „w nielitościwy sposób i obrzucał karczemnemi wyrazy ludzi, który pracują uczciwie dla ogółu." To byłoby bardzo źle! Musiałbyś się wprzód sam pomieścić w jakim zakładzie wychowawczym, zanimbyś ujął ster kształcenia innych. Lecz najwięcej pono zawiniłeś, podkopując zawistnie i współzawodnicząc sławę nowootworzonej szkoły czteroklasowej w Płocku. Jeśliś to zrobił p. U., znikasz z przed moich oczu jako godny szacunku pedagog. Ale i ty *Korespondencie płocki* popełniłeś bezeceństwo, spychające cię na poziom organu zależnego, skoro wzbroniłeś wstępu dla wyjaśnień drugiej strony.

Bądź co bądź, sprawiliście obaj to, że myśl moja odrazu przeskoczyła na inne brudy — w Radomiu. Tam świństwo uprawia kamienicznik, usiłujący zawczasu iść śladem mocarzów grosza. Kamienica zbudowana niedawno, przeznaczona była na hotel, ale mieściła także i restauracyę. Gdy poprzednia właścicielka zwinęła ją, lokal pozostał próżny. Długo wysokie komorne (600 rs.) odstręczało chętnych wynajęcia. Tymczasem kamienicę dzierżawił na hotel chrześcianin niejakiś. Pewnego dnia mocno się zadziwił, ujrzawszy na dole jadłodajnię semicką z szyldem o wstecznopiśmie hebrajskiem, które szczerzyło bezczelnie zęby czarne na pierwszorzędną ulicę. Niechby sobie, ale gospodarza hotelu zaczęto unikać, jak zapowietrzonego, na widok snujących się chałaciarzy, którzy prócz garkuchni, zaimprowizowali jeszcze w swym lokalu „podhotel" o ośmiu legowiskach dwózłotówkowych...

Bywają obrazy jeszcze lepsze, budzące naraz wstręt i litość. Na targ lubelski przypędził chłopak włościański 12-letni osiem krów, przeznaczonych na rzeź. W jednej chwili, tak jak gdy zwłoki owada wpadną do mrowiska, zleciała się z nor cała zgraja wyblakłych nieletnich obdartusów długopołych, jedni ze szklankami, inni z butelkami itp. Rzucili się na krowy, by z zaklęsłych wymion kilka kropel mleka wyssać. Chłopak zniecierpliwiony daremnem łajaniem, jął smagać biczem to robactwo zgłodniałe, lecz ci, nie czując razów, doili. Reporterowi *Gaz. lubelskiej*, wychowanemu estetycznie, tylko uczucie wstrętu i oburzenia zadrgało w sercu, szczeknął, że wyrostków chciwość i brak uczuć ludzkich skłoniła do tego!..

Zygmunt Atanazy.

Z pod Humania. W pobliżu miasta Humania jest majątek Werchniaczka. Wraz z fabryką cukru tegoż nazwiska był on przed laty własnością rodziny Jasińskich i oni to pobudowali kaplicę, pod którą znajduje się grób ich rodziny. Przed kilku laty majątek ten nabyli pp. Hille i Ditrich z Żyrardowa, mianując swoim pełnomocnikiem i administratorem fabryki p. Edwarda Martina, ożenionego z córką pp. Jasińskich. Obowiązki swe pełnił on do śmierci swej (12 sierpnia r. b.). Chociaż protestant, odrestaurował należycie ową kaplicę, i w czasie swego $\frac{1}{2}$-letniego pobytu w Werchniaczce, sprowadzał bardzo często katolickiego księdza z Humania dla odprawiania mszy w kaplicy, wynagradzając go bardzo sowicie za każdy przyjazd tak gotówką jak i różnymi przedmiotami dla spiżarni proboszcza humańskiego. Ksiądz też często przybywał bez zaproszenia, wiedział bowiem, że każdorazowo będzie sowicie obdarzony i gościnnie przyjęty, że uda mu się wygrać w karty kilkanaście rubli i że dla swej spiżarni wywiezie rozmaite leguminy, cukier itd. Stosunek więc między dworem p. Martina w Werchniaczce i księdzem proboszczem w Humaniu był bardzo serdeczny.

W pierwszych dniach sierpnia p. Martin zachorował i w kilka dni życie zakończył. Ponieważ był to człowiek dla sąsiadów i wogóle dla wszystkich uczynny, przeto mimo młodego wieku (umarł mając lat 27), zjednał sobie ogólny szacunek i śmierć jego niespodziewana, wywołała przygnębiający żal w całej okolicy.

Zjechała więc cała rodzina pp. Jasińskich, Martinów i okoliczni obywatele a wskutek polecenia teścia nieboszczyka urządzono w kaplicy katafalk, na którym złożone zostały w trumnie zwłoki. Naturalnie postanowiono pochować je na cmentarzu protestanckim w Kijowie — przed otrzymaniem zaś pozwolenia gubernatora na przewiezienie ciała trumna hermetycznie zamknięta, spoczywała w kaplicy. Dnia 15 sierpnia otrzymano owo pozwolenie i wyprowadzono zwłoki przy nadzwyczaj licznym zjeździe obywatelstwa okolicznego.

Miejscowy paroch prawosławny wystąpił z całą gminą i odprowadził orszak żałobny kilka wiorst. Nawet mnóstwo żydów przyłączyło się i widziano niejedną szczerą łzę. To wszystko świadczy, że nieboszczyk zaskarbił sobie ogólny szacunek i że szacunku tego był godny. Inaczej jednak zapatrywało się duchowieństwo katolickie z Humania. 20 sierpnia miał odbyć się pogrzeb w Kijowie i ci wszyscy, co nie mogli być na nim obecni a chcąc uczcić pamięć nieboszczyka, wysłali jednego z urzędników cukrowni do proboszcza humańskiego, prosząc, by w owym dniu przyjechał do Werchniaczki i odprawił w kaplicy mszę żałobną. Ofiarowano mu stosowne wynagrodzenie pieniężne, a nadto przygotowano rozmaite inne produkty dla jego spiżarni. Stało się jednak inaczej. Ksiądz widząc, że względy umarłego już dlań minęły, oburzył się i odrzekł, że zmarły był *lutrem-heretykiem*, a za heretyków ksiądz katolicki modlić się nie może. Nadto zagroził, że ponieważ zwłoki leżały w kaplicy, a więc sprofanowały ją, musi ona być z tynku odartą, podłogę potrzeba zerwać i kaplicę na nowo wyświęcić i na ten cel zaprosić biskupa. Odmowa ta wywarła oburzenie i jednogłośne potępienie. Zdaje się, że nietylko za chrześcianinem-ewangelikiem, lecz za żydem lub nawet poganinem modlić się wolno. Czyż w ten sposób ksiądz wypełnia swój obowiązek, jako pasterz dusz, czyż takie postępowanie płynie z miłości chrześciańskiej? I pomimo woli nasuwają się następujące pytania: czy ks. Z. przyjmując za życia śp. Marcina od niego ruble i inne podarki, nie profanował swojej świątobliwej kieszeni; czy goszcząc u niego, całując, ściskając się z nim, nie profanował swoich rąk — i czy w końcu nie należałoby wyświęcić sprofanowanego księdza zupełnie na nowo? Według ks. Z. modlić się za protestancką duszę nie wolno, a przecież sam ojciec św. modli się nietylko za duszę, lecz nawet za włosy Bismarka — chociaż Bismark także heretyk? Już to prawda, że od czasu, jak papież zajmuje się nie kościołem lecz polityką i swataniem swoich kuzynek, jego podwładni także potracili głowy jak by na dowód, że niedaremnie ich część głów wygolona być musi.

Wiem, że księża wyklną i gazetę, która odważy się pomieścić niniejszy opis i autora w potomstwie do 10 pokolenia; wiem, że niektóre gazety gotowe podnieść gwałt i wrzawę, oświadczam jednak, że z żalem, lecz i z oburzeniem muszę ogłosić fakt, zasługujący na publiczną naganę. Księdza Z. nie znam a nawet go nie widziałem nigdy, nie mogę więc być posądzonym o jakąś niechęć osobistą — powtarzam tylko to, o czem od tygodnia wspominają w każdym domu w Humaniu i w okolicy.

Szanowna Redakcya z pewnością nie odmówi pomieszczenia tej korespondencyi w *Prawdzie* i nie omieszka zapewne przyłączyć się także do napiętnowania tego oburzającego faktu, a może

wywrze to choć mały skutek na tych, co to ciągle uskarzają się na uciemiężenie, sami zaś ciemiężą innych i ich uczucia religijne.

P. H.

(Być może — nie znamy tych przepisów — prawa kanoniczne nie pozwalały księdzu mszy za protestanta odprawić; zasady księże nie zawsze się godzą z uczuciami ludzkiemi. W każdym razie ks. Z. powinien był swą odmowę usprawiedliwić, a zacnego nieboszczyka nie znieważać. *Red.*).

PRASA ROSYJSKA.

Nowosti tak mówią z powodu starć między prasą galicyjską a czeską (według *K. w.*):

„Zdawałoby się, że właśnie polacy, gdyby istotnie współczuli bulgarom, powinni byli przynajmniej w sprawie bulgarskiej stanąć na gruncio słowiańskim i przyłączyć się bezwarunkowo do głosów prasy czeskiej. Czcigodny patryota bulgarski, Sławejkow, wykazał na zebraniu narodowem podobieństwo, zachodzące pomiędzy dzisiejszą Bułgaryą a dawną Polską: tu i tam te same sprzeczki, ta sama niezgoda wewnętrzna, to samo lekceważenie interesów społecznych dla osobistych samolubnych celów, te same wpływy zewnętrzne, intrygi i podstępy, a wreszcie to samo nagromadzenie materyału zapalnego. Poważni i bezstronni historycy polscy przyznają teraz, iż polacy sami stali się przyczyną własnego losu, że podział Polski był logicznym skutkiem polityki polskich pseudo-rządców i pseudo-patryotów, i że Polska możeby dotąd rozwijała się, gdyby polscy Stambułowie i Stoiłowowie nie zgubili jej."

Kończy zaś korespondent tak:

„Gazety polskie z *Czasem* na czele grożą czechom, że, jeśli ci ostatni nie porzucą swej polityki rusofilskiej (*sic!*), to przyjaźń polsko-czeska musi się zakończyć. Szowiniści polscy widocznie nie wiedzą, iż związek z polakami, oparty na związku z jezuitami i zwolennikami feudalizmu, pozbawił wodzów czeskich wszelkiej popularności wśród narodu. Polacy oczywiście sądzą, że łatwiej im zawrzeć sojusz z niemcami i być panami w parlamencie bez pomocy deputowanych czeskich. Lecz właśnie te poglądy wykazują, iż polacy nie nauczyli się niczego. Czasy centralizmu w Austryi minęły nieodwrotnie. Korona, przy najlepszych chęciach, nie może pozwolić na bezwarunkowe panowanie w Czechach niemców, tak jak tego życzyliby sobie centraliści niemieccy, na których poparcie liczą polacy. Prędzej czesi mogą połączyć się z niemcami, czego pragnie i hr. Taafe i korona. Polacy zatem, w razie zerwania stosunków, mogą się znaleźć bardziej odosobnionymi, niż czesi, którzy podobnych gróźb bynajmniej się nie boją. Naród zaś czeski uzna chwilę zerwania stosunków ze stronnikami partyi *Czasu* za najszczęśliwszy dzień w swojej historyi."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Grono b. uczniów gimnazyum lubelskiego ofiarowało album pamiątkowy z fotografiami jednemu z najzacniejszych i najzasłużeńszych nauczycieli swoich P. Dębowskiemu. Pod jego mistrzowskiem i ojcowskiem kierownictwem wykształcił się szereg ludzi znakomitych lub dla kraju użytecznych, jak: prof. W. Holewiński, dr. J. Baranowski, A. Głowacki (B. Prus), W. Gosiewski, J. Ochorowicz, L. Krysiński, A. Suligowski i wielu innych. Wszyscy oni niewątpliwie z taką czcią wspominają imię szanownego swego nauczyciela, z jaką autor tej wzmianki.

Zjazd prawników w Krakowie otwarto 9 b. m. Przewodniczący hr. August Cieszkowski, prezes Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu. Przez czas narad wychodził *Dziennik*, którego pierwszy numer ukazał się już w chwili otwarcia, tudzież *Pamiętnik*, złożony z rozpraw na posiedzeniach. Podnoszono następujące zagadnienia: prof. Kasparek o swoim referacie p. t. „O potrzebie troskliwej uprawy prawa międzynarodowego prywatnego i środkach do tego celu zmierzających," poruszył stosunki majątkowe osób prywatnych wobec różnicy prawodawstw państw pojedynczych. Szczególną zwrócił uwagę na spadkobranie i wykonalność wyroków zagranicznych. Wnioski jego co do wykładu i rozpowszechnienia prawa międzynarodowego przyjęto bez zmiany. Natomiast zalecane przez niego wniesienie prośby do Rady państwa austryackiej w sprawie ustalenia pełnoletności na lat 21 (obecnie dopiero po 24 latach), tudzież ujednostajnienia zasad dziedziczenia w razach, gdy spadek się otwiera w kilku państwach — nie uzyskały uznania. Prof. Till ze Lwowa podniósł sprawę uprawnienia dokumentów sądowych. Wniosek jego dążył do uproszczenia procedury, odbywającej się dziś kosztownie na drodze dyplomatycznej — przyjęto. Dziekan Kasznica domagał się zastąpienia nazwy „wydziałów prawnych" na nazwę „wydziałów nauk społecznych." Wniosek swój uzasadniał tem, że zakres nauk wykładowych na wydziałach prawnych jest szerszym, niż ich nazwa dotychczasowa — lecz odrzucono go jednomyślnie. W czasie rozpraw nad nim dr. Lipowski wystąpił z zapytaniem, czy socyologię można uważać za naukę samoistną. Wątpliwość jego rozproszył prof. Kasparek przy wtórze hucznych oklasków. Na zjeździe utworzono komisyę stałą, której zadaniem będzie obmyślenie środków po podniesienia poziomu ukształcenia prawnego i ekonomicznego. W obradach zjazdu uczestniczy 300 członków. Niektórzy nie przybyli, np. prof. Rando i dr. Pražak z Pragi czeskiej, poseł parlamentu niemieckiego, Graeve. Najwięcej uczestników dostarczył Kraków (108), z Warszawy przybyło 64.

W Filadelfii powstało stronnictwo t. z. amerykańskie, na którego czele stoją W. Hepburn, bogaty adwokat, księgarz J. M. Munyon, dziennikarz J. M. Davis i lekarz E. W. Kirby. W zwołanym 16 i 17 b. m. kongresie mają oni wystąpić z szeregiem żądań:

1) W zasadzie Ameryka ma być dla amerykanów; 2) wychodźtwo obce ma być ograniczone; 3) prawa naturalizacyi winny podledz gruntownej rewizyi; 4) ziemia amerykańska ma być zachowana dla tuziemców; 5) każdy podróżnik zawijający do portów Stanów Zjednoczonych winien zapłacić 500 dolarów podatku, oraz przedstawić świadectwo konsula swojej ojczyzny co do prowadzenia się; 6) każdy cudzoziemiec dopiero po przebyciu 21 lat na ziemi amerykańskiej uzyska prawo wyborcze.

Zataczajcie się kręgi wsteczne od kamienia rzuconego w tonie stosunków społecznych zgrzybiałą ręką wodza teutonów i ogarniajcie całą kulę ziemską! Ludzie umieją czasem uciekać przed piskiem we własnym nosie...

Moskowsk. Wied. donoszą, iż górnicy poddani zagraniczni, pracujący w kopalniach Królestwa Polskiego, mają być pociągani do złożenia egzaminu przed delegatami rosyjskiego departamentu górniczego.

Rząd pruski zabronił przywozu trzody chlewnej z Królestwa Polskiego.

Kasy skarbowe (według *Gaz. lubels.*) wycofują z obiegu dawne dziesiątki i piątki srebrne i wysyłają je do mennicy w Petersburgu, bez względu na to, czy moneta jest wyraźna lub wytarta.

Warsz. Dniewn. pisze, że objazd po Królestwie Polskiem p. Kartawcewa, dyrektora banku włościańskiego w Petersburgu, zostaje w związku z otwarciem u nas filii tej instytucyi.

P. Korzeniowski, technik, wynalazł nowy, uproszczonej budowy telefon. Składa się on z dwóch dnami do siebie zwróconych pudełek niewielkich rozmiarów z nadzwyczaj cienkich deseczek orzechowych, połączonych drutem. Mają się odbyć próby z tym wynalazkiem.

W zakładzie rękodzielniczym hr. Plater-Zyberkówny dla kobiet, rozpoczynają się kursa buchhalteryi, korespondencyi handlowej, tudzież malowania na porcelanie, drzewie i atłasie.

Bibliografia. Jeden z tutejszych publicystów przygotowuje do druku broszurę p. t. „Historya kolumny Zygmunta III, znajdującej się na placu Zamkowym w Warszawie." Praca ta będzie ilustrowana.

— Zbiór poezyj ludów słowiańskich ukazał się po Duńsku w Kopenhadze. Z polskich utworów są tam ustępy z *Grażyny*, tudzież kilka poezyj Krasińskiego i Słowackiego. Przełożył Viderström.

— Powieść Kraszewskiego, *Stary sługa*, wyszła w przekładzie serbskim.

— P. Marya Weryho wydała podręcznik pedagogiczny p. t. *Gimnastyka dla dzieci* w wieku od lat 4.

— *La morte* Feuilleta znalazła tłomacza polskiego.

— *Materyałów do dziejów farmacyi w Polsce* wyszedł t. III. Ostatni zeszyt zawiera szczegóły o wykształceniu farmaceutów, rys dziejów farmakopei i spis aptekarzów polskich alfabetyczny. Wydawnictwem kierują pp. E. Świeżawski i K. Wenda.

— Inżenier tutejszy p. Feliks Kucharzewski, w jednym z ostatnich zeszytów *Revue Scientiphique* umieścił obszerną pracę o życiu i zasługach dla naszego przemysłu Filipa Girarda, wynalazcy mechanicznych warsztatów tkackich. Nazwa Żyrardowa od jego imienia pochodzi.

— P. Antoni Lewandowski zaczął wydawać w Nowym-Yorku nowy tygodnik polski *Ognisko*. W Loup-City, w stanie Nebraska, p. J. K. Litwicki wydaje nowy dziennik: *Gaz. polska*.

— Dział sprawozdawczy z postępów wiedzy lekarskiej w Polsce w lipskiem czasopiśmie *Schmidts Jahrbücher der Gesammten Medicin* objął dr. Henryk Pacanowski z Warszawy.

Teatr i muzyka. W bieżącym sezonie mają być wznowione oddawna niegrane następujące sztuki: „Przyjaciele Hioba" Asnyka, „U wrót szczęścia" J. A. Święcickiego i opera Verdiego „Ernani."

— Z „Hrabiny Sary" Ohneta rozdano role do nauki. Tytułową obejmie panna Marcellówna.

— W niedzielę ma się odbyć koncert w Salach redutowych z udziałem Mierzwińskiego, na dochód pomnika dla Królikowskiego.

— Znany z debiutów na scenie warszawskiej tenor, p. Bandrowski, śpiewa obecnie partye operowe w Kolonii.

— Pan Danysz, gorliwy opiekun śpiewu chóralnego, pracuje obecnie nad publicznem wystawieniem jednego z oratoryów Mozarta.

— Pani Ludmiła z Mikorskich Choińska, znana kompozytorka, powróciła do Warszawy i podejmuje na nowo od lat kilku przerwaną działalność profesorki śpiewu.

W ministeryum skarbu złożono projekt ustawy Towarzystwa pomocy dla przemysłu rzemieślniczego. Wchodzą w nią następujące środki rozwoju rzemiosł: 1) urządzanie zebrań niedzielno-świątecznych; 2) utworzenie magazynu celem zakupu materyałów surowych i artykułów spożywczych; 3) urządzenie stałych i czasowych wystaw rzemieślniczych; 4) urządzenie kas zaliczkowo-wkładowych; 5) zakładanie muzeów rzemiosł — itp.

W Muzeum pszczelniczem na Koszykach rozpoczęły się egzaminy z pszczelnictwa, ogrodnictwa i jedwabnictwa. Stanęło 36 kobiet i kilkunastu mężczyzn. Dni policzone tej sympatycznej instytucyi, skutkiem obojętności ogółu. Umrze z niedokrwistości. Nawet organ jego z tygodnika staje się miesięcznikiem. Jest nadzieja, że następnie będzie *nikiem*.

Szkoła malarstwa p. Wiesiołowskiego dla kobiet będzie wkrótce otwartą po feryach. Jej kierownik stara się o pozwolenie na wykłady teoretyczne, dziejów sztuki, perspektywy itd.

Gaz. polska oznajmia, że z powodu nieobecności kilku członków komitetu konkursowego imienia Alojzego Żółkowskiego, termin nadsyłania utworów przedłużony został do d. 15 października b. r.

Chapman Endhoven, archeolog holenderski, liczący 105 lat wieku, ogłasza, iż ma do sprzedania kilka listów Kościuszki, pisanych po francusku w Solurze.

Największa burza XIX wieku ma szaleć nad Kalifornią i Europą zachodnią między 18 i 20 b. m., według przepowiedni Falba. Towarzyszyć jej ma silne trzęsienie ziemi.

Zastęp członków Tow. sztuk pięknych w Warszawie zwiększył się o 750 nowych osób.

Jan Ruskin, słynny estetyk angielski, uległ obłędowi umysłowemu. Urodził się w Londynie 1819 r., studya kończył w Oxfordzie. Zrobił sobie sławę pierwszem dziełem bezimiennem p. t. „Współcześni malarze." Pisywał przeważnie do *Quarterly-Review.*

Stan wzmocnionej ochrony w guberniach południowo-zachodnich i dwóch małoruskich (połtawskiej i czernihowskiej), zaprowadzony dnia 20 sierpnia (2 września) 1886 r., przedłużony został na rok jeden (tj. do września 1888 r.).

Posag Voltaire'a odsłonięto w St. Claude wobec licznego udziału publiczności i przedstawicieli rządu.

Do szkoły handlowej sutejszej uczęszcza już na rok bieżący 250 uczniów.

Kongres zwolenników palenia ciał odbędzie się d. 17 i 18 b. m. w Darmsztadzie. Udział zapowiedzieli delegowani ze wszystkich niemal krajów Europy i Ameryki.

Postępy homeopatyi. Gazeta *Minuta* donosi, że władza eparchialna w Tobolsku rozesłała do podwładnego duchowieństwa okólnik, zalecający zakładanie apteczek homeopatycznych. Biedna Syberyo! Więc już takaś niepoprawna?..

Międzynarodowy kongres lekarzy w Waszyngtonie otwarty został w d. 5 b. m. Obecnych lekarzy było 5,000, między którymi 2,000 cudzoziemców ze wszelkich stron świata.

Ministeryum wojny opracowało projekt ustanowienia rady geodezyjnej.

Mania oszczędności. Koleje Nadwiślańska i Łódzka zmniejszyły budżety wydatków. W te pędy zamierzała pójść nietylko Wiedeńska i Bydgoska, lecz także ...espolska i Dąbrowska. Biedne ręce najemne! co ...ni się stanie?.. A dywidenda jednak łaskawa dla ...yonaryuszów.

Sezon letnich przedstawień w teatrzykach ogródkowych skończył się 12 b. m. Rozpocznie się teraz tułactwo i szczepienie uczuć... estetycznych na prowincyi.

Według dzienników rosyjskich, podjętą została sprawa urządzenia stałej wystawy drobnego przemysłu wraz z biurem pośredniczącem pomiędzy wytwórcami a nabywcami. Ale gdzie?

Sudebnaja Gazeta donosi, że sfery rządowe powzięły zamiar wydania prawa, według którego tylko ci włościanie mogliby być obierani na wójtów i sędziów gminnych, którzy ukończyli przynajmniej szkołę początkową. Ba! czemu nie? Urwałaby się nareszcie grzanka pp. Zołzikiewiczom.

P. Michał Girdwoyń, ichtyolog, wyjeżdża w kwietniu r. p. do Azyi środkowej, celem badania fauny wodnej jezior i rzek tamecznych.

Jeden z inżenierów prywatnych urządził w 39 miejscach Warszawy regulatory rtęciowe własnego pomysłu, mające wpływać na zmniejszenie się wypalania gazu.

Wysokie ciśnienie wieży na Koszykach spowodowało pękanie rur wodociągowych. Z objaśnienia zarządu kanalizacyi okazało się, że wogóle z 7,648 rur pękło 37, co wynosi $^1/_2$%, ponieważ długość ich wynosi 77,316 stóp bieżących, przypada więc jedno pęknięcie na 2,100 stóp długości, co nie dochodzi nawet do normalnego stosunku zwykłego w podobnych razach. Zatem gdzie drzewa rąbią, wióry lecieć muszą...

Podczas wystawy tkackiej w Warszawie wystąpią fabrykanci z Manchesteru, jak również i tkacze belgijscy z Verviers i Akwizgranu.

Magistrat m. Warszawy przedstawił do zatwierdzenia ministeryum kontrakt zawarty z inżenierem p. W. H. Lindleyem, według którego otrzymuje główne kierownictwo robót kanalizacyjnych i wodociągowych trzeciej seryi.

Zmarli. Książę Piotr Sayn-Wittgenstein, w Coeur-Léon, około Brest we Francyi. Zostawił olbrzymie dobra na Litwie.

— Caracciolo (Ludwik), znany i ceniony kompozytor pieśni, w Londynie, lat 40.

— Ks. Jan Niemyski, niegdyś nauczyciel w Instytucie głuchoniemych i ociemniałych.

— Wincenty Chełmiński, nowelista i poeta, w Wilnie. Brał czynny udział w działalności wydawniczej Orzeszkowej. Był współpracownikiem *Kolców*, w *Wędrowcu* drukował nowele. Ostatnio wyszedł zbiorek jego prac beletrystycznych p. t. „Z życia," o którym pomieściliśmy niedawno szczegółowy rozbiór w *Prawdzie*.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

S. Sępowi. Wysłany pod wskazanym adresem wiersz Pański, dla *Prawdy* nieprzydatny, poczta nam zwróciła.

F. C. Oprócz wyliczonych przez Pana, innych po polsku nie znamy. Tytuł „*Worte der Weisen* (5 m.). „Z księgi ksiąg" w nr. 46 i 47 z r. 1883.

Stał. prenum. Ż. w Kijowie. Genève, Champel Zagroda.

P. D. S. w Częstochowie. Żądanej książki w zeszytach już nie posiadamy. Całość z przesyłką rs, 1 kop. 73.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Sprostowanie. W nr. 37, str. 433, szp. 1, w. 19, zamiast: chce, czyt. *nie chce wojny*.

Na str. 435, szp. 1, w. 43 od góry, przed wyrazem „handel," opuszczono: „wolny."

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Сентября 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.